Nr. 44. Poznań, dnia 30. października 1910 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 97. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

MATERYALIZACYA.



W gronie inteligentnych osób toczyła się dyskusya na temat: czy społeczeństwo nasze się materyalizuje? To znaczy, czy uwydatnia się u nas niezdrowa dążność do gromadzenia dóbr materyalnych i nadmierne przywiązanie się do nich ze szkodą dla wyższych pierwiastków idealnej natury, które stanowią o istotnej wartości człowieka i społeczeństwa?

Na pytanie to różni różnie odpowiadali.

Jedni dowodzili, że społeczeństwo nasze istotnie w wysokim stopniu jest zmateryalizowane; inni wyliczali pewne objawy znachodzące się w społeczeństwie, a świadczące znacznem swem rozpowszechnieniem o wielkiem niebezpieczeństwie grożącej nam materyalizacyi; jeszcze inni wręcz przeciwnie twierdzili, że wzmaga się w społeczeństwie kierunek idealistyczny, że o materyalizacyi społeczeństwa nie można mówić nie narażając się na zarzut pessymizmu.

Bardzo ciekawe były obszerne wywody pewnego kapłana biorącego czynny udział w naszem życiu publicznem.

Twierdził on, że oficyalna nasza polityka gospodarcza uwydatniająca się w naszej akcyi spółkowej bynajmniej nie uważa organizacyi naszego grosza publicznego za cel, lecz za środek do celów wyższych t. j. do uniezależnienia ekonomicznego społeczeństwa i uzdolnienia go w następstwie do dążenia do celów istotnych t. j. do wydatnej pracy w dziedzinie kulturalnej, umożliwiającej harmonijny rozwój istoty ludzkiej i społeczeństwa, którego bogactwo nie pieniądz, lecz suma dzielnych, cnotliwych i światłych stanowi osobników. Objawy, które powierzchowne patrzenie na rzeczy za objawy materyalizacyi uważać jest skłonne, są raczej objawami nieświadomości, świadczą, że dany osobnik skutkiem braku oświaty nie uświadomił sobie ideału. Jednakże o powszechnej materyalizacyi już dla tego mówić nie można, ponieważ poszczególne warstwy naszego społeczeństwa okazują dowodnie czynne zrozumienie swych obowiązków wobec tych ideałów, które im są dostępne i zrozumiałe. Tak n. p. inteligencya i stan średni okazują znaczną ofiarność, gdy chodzi o sprawy narodowe; lud tymczasem, który dla braku oświaty w znacznej części jeszcze obojętny jest dla ideałów narodowych, dla lepiej przezeń zrozumianych potrzeb religijnych otwartą ma rękę, od ust sobie ujmuje, by na budowę kościoła i inne tegoż rodzaju potrzeby złożyć datek. Tam zaś, gdzie kwitnie ofiarność, mowy być nie może o materyalizacyi. Mamy i my — jak zresztą wszystkie społeczeństwa — zatwardziałych materyalistów i to we wszystkich stanach, lecz nie jest to objaw bynajmniej tak dalece powszechny, żeby się można skarżyć na materyalizacyę społeczeństwa.

Opinię tę podzielamy.

Sądzimy, że społeczeństwo, które podobnie jak nasze z poświęceniem materyalnych korzyści broni ideałów religijnych i narodowych i na wszelkie potrzeby publiczne ma rękę otwartą, nie zasługuje na miano zmateryalizowanego. Gdyby niem było, łatwiejszą grę miałyby zakusy germanizacyjne. Toż wyznaczone nam są wysokie premie za wyzbycie się polskości, a przecież pokusy te nie mają dostępu do serc naszych. Sporadyczne fakta jawnego zaprzaństwa narodowego niczego nie dowodzą.

W najbujniejszej pszenicy wyrasta kąkol, mimo to pszenica pozostaje pszenicą.

Nam się zdaje, że raczej podziwiać należy idealizm naszego społeczeństwa, które z taką energią stawia czoła nawałnicy i opiera się skutecznie zachłannym falom germanizacyi. Toż nie chęć zysku, nie materyalne pobudki każą nam walczyć o idealne dobra nasze, lecz miłość, którą dzieckiem z piersi matczynej wyssaliśmy. Grzeszymy więc sami wobec siebie, jeżeli każdy objaw istotnego zmateryalizowania niegodnych jednostek uogólniamy i na podstawie oderwanych faktów osądzamy całe społeczeństwo. Zapewne. Nie wszystko jest u nas tak jakby tego życzyć należało. Być może, że zanadto akcentujemy ważność i doniosłość ekonomicznego dobrobytu, a za mało staramy się o rozwój wyższych dóbr kulturalnych. Lecz z drugiej strony uczy nas historya, że podstawą wszelkiej wyższej kultury był zawsze dobrobyt ekonomiczny. Z wzrostem dobrobytu postępuje wzrost oświaty, matki wszelkiej wyższej kultury, piastunki sztuk i nauk. Słuszna zatem, że wzmacniamy podstawy ekonomiczne, bylebyśmy so-

bie zdawali sprawę z tego, że nie samym tylko chlebem żyje człowiek i społeczeństwo.

Materyalizm jest trucizną dla poszczególnych jednostek i narodów. Jest cechą degeneracyi i znamieniem zbliżającego się upadku. Najistotniejszem źródłem materyalizmu jest nadmierny kult ciała, rozmiłowanie w wygodzie i rozkoszach życia. Łączy się z nim bałwochwalcze poszanowanie dla mamony, a więc namiętna gonitwa za pieniędzmi.

Dla materyalisty pieniądz jest wszystkiem, jest bożkiem, któremu się kłania i dla którego gotów na wszelkie ofiary. Bo pieniądz daje mu wszystko; byt, niezależność, wygody, rozkosze. Za pieniądz wszystko można nabyć, co materyalne, co służy ciału i jego przyjemności. Nie dziw więc, że ludzie, którzy żyją tylko dla brzucha, uganiają się za złotem. Wyższe charaktery natomiast po wsze czasy miały je w pogardzie. Pieniądz bowiem ani uszczęśliwia człowieka ani też nie jest istotnem bogactwem. Ktoś powiedział, że pieniądz nie stoi w żadnym wewnętrznym stosunku ani do duchowych ani do cielesnych sił człowieka. I miał słuszność. Pieniądz bowiem, ani nie pomnaża naszych sił fizycznych, ani dodaje sprężystości siłom moralnym ani też zdobywanie go nie jest od nich uzależnione. Nie przyczynia się tedy do podniesienia i uszlachetnienia człowieka. Owszem, doświadczenie uczy, że najłatwiej zdobywa się pieniądz wyrzekając się skrupułów etycznych. Z historyi zaś wiemy, że z rozwojem wpływu pieniędzy wzrastała także demoralizacya i degeneracya powodująca nareszcie rozkład i upadek zbyt bogatych i nadmiarem złota zatrutych społeczeństw.

Niebezpieczeństwo to zbyt dalekie jest od naszego biednego społeczeństwa, by należało wygłaszać kapucynady przeciw gromadzeniu pieniędzy, których raczej brak dotkliwy niż dostatek odczuwamy. Lecz nie od rzeczy jest wskazać na skutki błędnego oceniania znaczenia pieniędzy powodującego zbytnią za niemi pogoń ze stratą dla istotnych dóbr człowieczych, które z metalem nic nie mają wspólnego.

Szanujmy tedy pieniądz i zdobywajmy go uczciwie, nie na to, aby go posiadać i używać rozkoszy, których dostarcza, lecz dla tego, że jest on w obecnym kapitalistycznym ustroju świata nader potężnym czynnikiem, dopomagającym pracy ludzkiej nad rozwojem dóbr wyższych, kultury i cywilizacyi.

Człowiek i społeczeństwo, które w należyty sposób uporządkuje swój stosunek do mamony i nauczy się być jej panem, a nie jej niewolnikiem, nie potrzebuje drżeć przed niebezpieczeństwem materyalizacyi. Zresztą nie ma w naszym charakterze narodowym pierwiastków, któreby nas dla materyalizmu czyniły szczególnie podatnym objektem. Sądzimy też, że polityka antypolska, zdążająca do złamania naszych sił moralnych, naszego ducha przez nacisk, który w tej sferze wywiera, wywołuje stałą reakcyę i działa raczej podniecająco.

Naród zaś, który poznał, że istotną potęgą jest duch i idea i zrozumiał, że zwycięstwo nie pisane jest większej sile finansowej lub fizycznej — boć pod tym względem zawsze nas przeciwnicy przewyższać będą—lecz większej sile moralnej, nie przestanie jej wzmacniać i krzepić. Dla takiego narodu pieniądz i dobrobyt materyalny może być tylko środkiem. Celem na zawsze pozostanie rozwój moralnej istoty społeczeństwa.



Jeszcze „wiec polski.“

Dyskusya na temat poruszony przez „Dziennik Pozn.“ coraz bardziej się w prasie naszej rozszerza. Bardzo przytem dodatnim jest objawem, że dzieje się to w sposób rzeczowy i spokojny. Snać chodzi o rzecz, potrzebę której wszyscy odczuwają.

Powracamy tu do tej materyi, ponieważ w ostatnim artykule naszym nie dość szczegółowo rozwinęliśmy myśl naszą, wskutek czego nasi czytelnicy mogliby dojść do wniosków podobnie mylnych, jak „Kurjer Pozn.“, który z artykułu naszego wyczytał, iż proponujemy instancyą złożoną aż z 300 osób z górą.

Oświadczył się tedy „Kurjer“ przeciwko naszemu projektowi tak z tego względu, jak również dla tego, że sądzi, iż zrealizowanie naszego projektu pociągnęłoby za sobą namiętne walki wyborcze, przytem sama naczelna instancya, jako zrodzona z walki, miałaby — zdaniem „Kurjera“ — w sobie pierwiastek walki, jaki dziś mają zjazdy delegackie, tylko, że byłoby jeszcze znacznie gorzej. A chodzi przecież o to, by działalność i postanowienia naczelnej instancyi wyrastały z dobrej woli i wzajemnych ustępstw poszczególnych stronnictw i kierowników politycznych.

Celem zrektyfikowania poglądów „Kurjera“ w sprawie projektu „Pracy“ nadesłał redaktor naszego pisma „Kurjerowi“ następujące wyjaśnienie:

„Zaznaczając w nr. 43. „Pracy“, że projekt Kurjerowy sympatyczniejszy mi jest od Dziennikowego także z tego względu, że w miejsce ciężkiego aparatu proponuje jako najwyższą instancyę narodową ciało sprawniejsze, bo złożone tylko z kilkudziesięciu osób, popełniłbym grubą niekonsekwencyę, rozszerzając więcej jeszcze szerokie ramy Dziennikowego projektu, jak to z mego artykułu wyczytuje „Kurjer.“

Zachodzi tu dość znaczne nieporozumienie. Otóż nie miałem na myśli, aby powoływano w skład wspomnianej instancyi wszystkich trzech kandydatów, figurujących na listach kandydackich powiatowych, lecz chodzi mi o to, by każdy okręg wyborczy reprezentowany był przez jednego przedstawiciela, któregoby należało wybrać równocześnie z posłami w ten sam sposób, w jaki się posłów wybiera. Pociągnęłoby to oczywiście za sobą stosowne uzupełnienie regulaminów wyborczych.

Ponieważ zaś liczba wszystkich okręgów wyborczych, mających dla Polaków znaczenie, nie przenosi łącznie z wychodźtwem 50, przeto tylko 50 reprezentantów weszłoby tą drogą w skład najwyższej instancyi narodowej. Do tej liczby doliczyć należałoby 11 członków Centralnego Komitetu wyborczego, oraz delegacyj Kół poselskich (po trzech), organizacyj politycznych (po pięciu, Stron. Lud. 1) prasy (pięciu), tudzież 5 osób pracujących w ważniejszych działach naszej pracy społecznej. Liczbę członków poszczególnych delegacyj obmierzam nieco szczuplej, niż „Kurjer“, ponieważ sądzę, że tak reprezentantów poszczególnych stronnictw jak prasy i pracy społecznej, stawianoby także na listach kandydackich wspomnianych 50 okręgów wyborczych.

W ten sposób utworzylibyśmy ciało złożone z 84 osób, a bynajmniej nie z trzystu zgórą, jak to z mojego artykułu wyliczył „Kurjer“.

Na zaostrzenie się walki wyborczej zwróciłem już uwagę w „Pracy“. Nie mogę się wszelako zgodzić na zapatrywanie „Kurjera“, który sądzi, że z walki zrodzona instancya naczelna miałaby z natury rzeczy sama w sobie pierwiastek walki i to we wyższej mierze, niż gdyby ją utworzono na podstawie stronnictw. Sądzę raczej, że byłoby przeciwnie. Myślę, że reprezentanci wybrani przez społeczeństwo, nierównie wyższym cieszyliby się mirem, aniżeli członkowie stronnictw poszczególnych.

Byliby niejako posłami społeczeństwa na Sejm narodowy, uznanoby ich tak samo za reprezentantów całego społeczeństwa jak się za takichże uznaje posłów do ciał ustawodawczych berlińskich, których się niekiedy także w zaciętej walce wybiera. Zaufanie społeczeństwa, poczucie, że są całego społeczeństwa mandataryuszami, wzmacniałoby w członkach najwyższej naszej instancyi poczucie odpowiedzialności wobec całego społeczeństwa i krzepiłoby w nich ducha tolerancyi i kompromisowości, bez czego o owocnych pracach instytucyi mowy by być nie mogło.

O ile więc w tej mierze nie podzielam zapatrywań „Kurjera“, o tyle najzupełniej godzę się na to, że uchwały najwyższej naszej instancyi zapadać powinny bardzo znaczną większością głosów. Mojem zdaniem starczyłyby ku temu dwie trzecie większości.

B. Ruczyński, redaktor „Pracy.“

Na wywody te odpowiada „Kurjer Pozn.“, co następuje:

Co do rzeczy samej, nie możemy się oczywiście ze swego stanowiska zgodzić na obecnie przez p. Ruczyńskiego ściśle sformułowany projekt. Nie widzimy w nim żadnej proporcyi między liczbą członków naczelnej instancyi, wybranych na podstawie wyborczej, a liczbą delegatów organizacyj czysto politycznych. Pierwsza wynosiłaby około 70, (50 delegatów, 11 członków Komitetu Centralnego i 6 posłów), druga w chwili obecnej 11. Wątpimy, czy w tych warunkach mogłyby się stronnictwa wogóle zaangażować i wziąć za działalność i przyszłość naczelnej instancyi narodowej na siebie odpowiedzialność polityczną. Jeżeli naczelna instancya ma sharmonizować stronnictwa i kierunki polityczne, natenczas musi to się stać przedewszystkiem na podstawie tychże stronnictw i bezpośrednio na skutek ich dobrej woli i wpływowego przyczynienia się do zgodnej akcyi. Wszelkim innym kombinacyom brak będzie realnej politycznej podstawy, bo, żeby proponowany przez p. Ruczyńskiego skład naczelnej instancyi, faktycznie wyrosły z walki wyborczej, i to z walki w każdym okręgu, w każdym powiecie i w każdym obwodzie, nie miał w sobie mieć pierwiastków walki, tego zgoła przyznać nie możemy, znając historyę zjazdów delegackich. Przekonani jesteśmy, że nastałoby nie polepszenie, lecz pogorszenie stosunków, a nie do tego przecież zmierzamy.“

Z powyższego wynika, że „Kuryer“ obstaje przy pierwotnem swojem żądaniu t. j., aby naczelna instancya nasza opierała się przedewszystkiem na stronnictwach. My z naszej strony w zasadzie nie wiele możemy przeciw temu powiedzieć, boć temu samemu przekonaniu tylekroć dawaliśmy wyraz. W partyjnie zorganizowanem społeczeństwie takie rozwiązanie kwestyi byłoby najnaturalniejsze. W tem jednak sęk, że organizacya partyjna społeczeństwa bynajmniej nie jest zupełna. Wszakżeż i Towarzystwo narodowo demokratyczne nie rozbudowało jeszcze swej organizacyi tak jak by się tego po silnej i żywotnej partyi spodziewać należało. Cóż dopiero mówić o nowotworach politycznych tkwiących w powijakach, cóż o tych żywiołach, które lubo w rozsypce będąc tworzą poważną siłę polityczną i są niejako partyą in potentia, to jednak zwartego ciała politycznego nie stanowią? W braku należytej partyjnej organizacyi społeczeństwa upatrujemy poważne przeszkody dla utworzenia w obecnej chwili najwyższej instancyi narodowej opierającej się na podstawie stronnictwowej. I dla tego podaliśmy projekt odmienny, bez porównania trudniejszy do urzeczywistnienia, lecz zdaniem naszem użyteczny, a nam jako pismu bezpartyjnemu i demokratycznemu o tyle jeszcze sympatyczny, że budujący najwyższą naszą instancyę na podstawie powszechnych wyborów, a więc demokratycznej, a uwzględniający również istniejące organizacye polityczne, a więc tolerancyjny, ponadpartyjny.

W prasie uwydatnia się wielka rozbieżność zdań w sprawie naczelnej instancyi. Widoki porozumienia nie są zatem wielkie. Zdaje się więc, że pozostaniemy przy stanie rzeczy wytworzonym znanem oświadczeniem C. Kom. Wyborczego.

Głos szlachcica

w sprawie wyborów do Rady państwa.

Pod tym tytułem napisał Józef hr. Korwin Milewki broszurę, w której rozwija swe poglądy polityczne i stawia szlachcie litewskiej drogowskazy w sprawie wyboru posłów tudzież poucza ją jak się winna pod względem politycznym i narodowym zachowywać, aby odzyskać należyte wpływy.

Otóż zdaniem autora „rola każdej szlachty w każdym ustroju państwowo-monarchicznym ta jest, że cała szlachta powinna stać bezwzględnie przy osobie tego monarchy, którego losy historyczne i wola Boża jej nadały.“ Zatem szlachta polska na Litwie zamieszkała powinna wiernie stać na usługach cara. Dalej powinna wyrzec się wszelkiego politykowania, a szczególnie mieszania się do spraw innych warstw społecznych. Posłowie przez szlachtę obierani winni całą swą działalność poświęcić głównie interesom szlachty. Wszelką solidarność Litwy z Królestwem uważa autor za zgubną. Najkapitalniejsze jest co mówi pod punktem trzecim swego programu:

„Nam, ziemianom tutejszym, polskiej kultury — czytamy tam — trzeba przy zachowaniu bezwarunkowej lojalności względem osoby Imperatora Wszechrosyjskiego, który jest jednocześnie Wielkim Księciem Litewskim, zachować jak najstaranniej naszą wiekową kulturę, nasz język rodowity, naszą religię, lecz tylko w ścisłem kółku swoich, nie dla żadnej propagandy lub opozycyi względem rosyjskiego państwa, którego jesteśmy i na zawsze zostaniemy obywatelami, lecz tak, jak się zachowuje relikwie po ukochanej matce, już dawno w grobie złożonej, a więc *bez pretensyi narzucania dalszym pokoleniom przekonań, mód i zwyczajów na zawsze minionej przeszłości.“*

Takie zachowanie religii, języka i tradycyi uważa autor za główną gwarancyę bytu szlachty polskiej i jej potomków na Litwie. Słowem zaleca autor szlachcie litewskiej urządzić się tak, aby poseł Polak z Litwy miał prawo w Radzie państwa przemawiać w imieniu *kasty*, na lojalność której rząd mógłby liczyć bezwarunkowo. Wtedy i prace takiego posła będą owocne.

Dalej zaprzaństwa narodowego chyba posunąć nie podobna! Można być wyrozumiałym na głosy choćby najbardziej ugodowe, byleby z nich tchnął patryotyzm, szczera troska o los całego społeczeństwa, o przyszłość narodu. Gdzie jednak, jak w obecnie nas zajmującym wypadku, nie ma patryotyzmu ani iskierki, tylko wstrętny egoizm kastowy w bezwzględny się uwydatnia sposób, tam musi się kończyć wszelka wyrozumiałość. Takie poglądy jaknajenergiczniej napiętnować należy. I to tem bardziej o ile istotnie nie brak na Litwie i Rusi tego rodzaju polityków.

Stosunki w tych krajach ze względu na lud niepolski, a nawet polszczyźnie w znacznej mierze wrogi, inne są niż w dzielnicach rdzennie polskich, wobec tego i metody polityczne muszą być odmienne. Póki jednak obok szlachty istnieją jeszcze na Litwie inne warstwy społeczne polskie, póty nie wolno się szlachcie zamykać w ciasnej

skorupie interesów stanowych, póty zbrodnią jest usuwać się od „polityko-wania“ i „mieszania się do spraw innych stanów“. Nie mają Polacy na Litwie obowiązku ani prawa narzucać Litwinom i Rusinom swego języka i swej narodowości, lecz potwornością jest dopomagać swą lojalną postawą wobec rusyfikacyjnego rządu do ich zmoskwiczenia.

Polacy mają bardzo żywotne interesy na Litwie, tych bronić jest zadaniem szlachty tak samo jak wszystkich nieherbowych obywateli. Kto się od tej pracy usuwa i na zagrożonym będąc posterunku z wrogiem niecne zamierza zawierać pakty, wyzbył się miana Polaka. Czuje to dobrze narodowo usposobiona szlachta polska na Litwie, przeto za syrenim głosem hr. Milewskiego nie pójdzie.



„Per la Polonia“.

Pod tym nagłówkiem umieścił genueński „Il Cittadino“ dłuższy i bardzo sympatyczny artykuł w sprawie polskiej. Autor zaznacza na wstępie, że w rozbiorach Polski należy upatrywać jeden z powodów niedomagań uwydatniających się obecnie w Europie. Cyniczny bowiem rabunek popełniony wówczas na Polsce otworzył wrota wszelkiemu międzynarodowemu rozbójnictwu naginając wyszydzone prawo przed tryumfującą siłą. Francya, która milczała na wielką zbrodnię popełnioną na Polsce, popełniła nie tylko grzech, lecz nadto wielką niezręczność. Gdyby bowiem Polska nie była rozczłonkowana, Francya nie byłaby straciła Mecu i Strasburga.

Następnie wspomina autor smutne dzieje Polski porozbiorowej i na pytanie: czemżeż tedy są Polacy? odpowiada: Wytrwali. Jakąż wspaniałą naukę nadziei udzielili światu! Nie ugięli się ni przed brutalnością moskiewską ni przed teutońską intrygą. R. 1910 podobnie jak r. 1792 Prusy, Rosya i Austrya znalazły się wobec kultury wytworniejszej, wobec literatury wyższej od ich własnych, wobec rasy płodniejszej: rasy polskiej, braterskiej, zorganizowanej, optymistycznej, walecznej, którą zasymilować jest niepodobieństwem. Mimo bagnety i ukazy, mimo Syberyę i Buelowa Polska żyje jeszcze, cóż mówię? rośnie w siłę i karność i daje światu wspaniały przykład energii.

I cóż za siła utrzymała naród ten przy życiu i sprawiła, że znosi z radością rozliczne prześladowania? Otóż siła nadprzyrodzona. Katolicyzm zachował Polskę i nauczył ją wierzyć w przyszłość. W wierze katolickiej znaleźli Polacy środki ku oparciu się prześladowaniom rosyjskim i ostaniu się wobec wzmagającego się z dnia na dzień ucisku w Prusach. Duchowieństwo wskazywało społeczeństwu w tej mierze drogę.

Nakoniec zwraca się autor do sprawy chełmskiej, wykazuje przewrotność i barbarzyństwo tego nowego projektu podziału Polski mającego na celu zmoskwiczenie unickiej ludności chełmskiej i wzywa Rosyę w imię braterstwa chrześciańskiego, w imię pokoju i wolności sumienia, by odstąpiła od niecnego zamiaru.

Sympatyczny głos włoskiej gazety świadczy pięknie o jej przyjaźni dla Polaków i przysporzy nam sympatyj w kole jej czytelników, sumienia moskiewskiego jednak nie poruszy.



Przegląd rolniczy.

Podróżnicy, którzy zwiedzili wiele krajów i nieomal cały świat znają, twierdzą, że jesień w Polsce należy do najpiękniejszych cudów natury. Malarze nasi lubują się przedewszystkiem w jesiennych pejzażach czyli krajobrazach. Choć wiosna u nas ma także wiele uroku i nęci człowieka nowem młodem życiem, które powstaje, to krajobraz cały robi martwe wrażenie. Przeciągają chmury deszczowe lub śnieżne i oczywiście codzień mamy ułudę, że jeszcze niema prawdziwej wiosny. Charakter wiosny jest zatem za mało jednolity u nas i jeżeli wiosnę opisują poeci wierszem i prozą, to zazwyczaj nie naszą, tylko wiosnę w krajach południowych. Zato jesień jest w Polsce jednolitą. Niema jesienią zazwyczaj mrozów ani też upałów, jesień jest średnio ciepłą to jest taką, jak ją tylko sobie wymarzyć można. Rolnik natomiast życzy sobie jednolitego charakteru pory roku. Cieszy się, skoro ma zimę śnieżną, gdyż śnieg zawiera wiele azotu, który kupujemy za tysiące marek w chilijskiej saletrze i innych nawozach azotowych. Po śnieżnej zimie następuje zdaniem starych ludzi urodzajne lato, a po drugie śnieg stanowi dla ozimin jakoby pierzynę, pod którą dobrze jest tak żytu jak i pszenicy.

Skoro wiosna ma prawdziwy ciepły charakter wiosny, wtenczas roboty w polu postępują i nie potrzeba drugi raz siać ani buraków ani innych delikatnych roślin, które mrą od lada przymrozku.

Lato powinno być upalne. Ziarno już wytworzone musi dojrzeć i stwardnąć a do tego potrzeba wiele słońca.

Jesień powinna być przeplatana deszczami, lecz w zasadzie ciepłą, aby każdy mógł sprzątać okopowizny przed zimą.

Skoro w połowie października przyjdzie mróz, jak już zresztą bywało, tedy okopowizny marzną. Kartofle lub buraki rzucane na wóz, stukają jak kamienie i skoro zaraz nie są przerabiane we fabrykach, jak w gorzelniach i mączkarniach a buraki w cukrowniach, tedy po odtajaniu skóra pęka i wycieka z buraka i z perki sama treść, która dla gospodarstwa bezpowrotnie jest straconą. Przytem zmarzniętej paszy bydłu dawać nie wolno; krowy porzucają po zjedzeniu takiej paszy i rozwolnienia i niedomagania żołądka są na porządku dziennym.

Można coprawda parować perki, aby zneutralizować złe wpływy mrozu, jednakże wszystkiej paszy odrazu nikt parować nie może, musiałby mieć ogromne kotły, a przytem można tylko tyle parować, ile się następnego dnia zużyje. Do parowanej paszy ciągną bakterye, rosną w niej grzybki i enzymy pasorzytne, a wszystko mnoży się z szaloną szybkością, zamieniając paszę na truciznę. Przeto konieczne jest ciepło w październiku, aby rolnik nie był narażonym na te wszystkie nieprzyjemności. Na obecny rok nikt się skarżyć dotąd nie może; pogoda sprzyja i jeżeli tak dalej będzie, to w początkach listopada będzie po wykopkach. Co prawda to i księżyc niemało się przyczynia do szybkiego postępu roboty; pełnia jest a przy świetle księżyca pracują ludzie na akord do 9 i 10-tej wieczorem.

Buraki cukrowe są zresztą bardzo dobre. Podług obliczeń Lichta z Magdeburga, powagi z dziedziny plantacyi buraków, sprzątnie Europa w obecnym roku 154 miliony centnarów buraków, to jest ilość, której jeszcze nigdy nie osiągnięto. Co Licht powie, to giełdy przyjmują za prawdę i oczywiście cukier staniał niezmiernie.

Odbije się to naturalnie na gospodarzach; kiedy dotąd płacono nam do 1,20 mk. za centnar buraków, to w tym roku zapewne ledwo 1 mrk. nam zapłacą. Wiele naturalnie rzeczy zmieni jakość sprzętu w Rosyi. Ztamtąd bowiem mamy jeszcze najmniej pewnych danych co do spodziewanego

sprzętu, gdyż niemoc rządu i na statystyce się odbija. Kto czyta stale statystyki z Rosyi, ten łatwo się przekona, że rzadko obliczenia te zgadzają się z prawdą. W podaniach ich jest zawsze przesada, albo piszą o szalenie wielkich sprzętach, albo o zupełnie chybionem żniwie. O średnim sprzęcie piszą mało. Tego roku oczywiście donoszą o „szalonym“sprzęcie, jednakże nie można wszystkiemu wierzyć.

Wiele majątków naszych posiada własną konną kolejkę na szynach. Szyny sa wązkotorowe i przenośne, przeto odstawa buraków jest bardzo ułatwioną. Co dawniej w 16 koni odstawiono na ciężkich wozach i złych drogach, to teraz kolejką jedną parą koni się zrobi. Był też czas, aby pomyśleć o ulżeniu koniom; biedne zwierzęta zamęczano i zabijano formalnie batem, bo zdala były towarzystwa ochrony zwierząt i policyantów, którzy okrutnego fornala zapisują do kary. Teraz po szynach gładko ciężar się toczy i fornal nie potrzebuje bata przy odstawie buraków. Kolejka wogóle odgrywa wielką rolę w ekonomii gospodarstwa wiejskiego.

Przed mniejwięcej 50 laty napisał Thuenen dzieło rolnicze „Der isolierte Staat“, nazywając majątek wiejski odosobnionem państwem. W książce tej która zrobiła ogromne wrażenie, pisze autor, że wszelki dochód z pola zjadają koszta transportu, skoro pole od podwórza ponad 4 km. oddalone.

Posiadacza kolejki teorya ta nie dotyczy, gdyż kolejką polną pokonywa się łatwo i dalsze odległości.

Rusticanus.



Do wyborców Polaków

okręgu kościańsko - śmigielsko - grodzisko - nowotomyskiego.

Wskutek śmierci ś. p. dr. Witolda Skarżyńskiego zawakowało krzesło poselskie do parlamentu niemieckiego z okręgu kościańsko-śmigielsko-grodzisko-nowotomyskiego. Wybory uzupełniające odbędą się dnia 4 listopada rb.

Na mocy § 9 regulaminu wyborczego zamianował niżej podpisany Komitet wraz z delegatami powiatowymi wymienionego okręgu kandydatem poselskim

p. Franciszka Morawskiego z Poznania.

Podając tę uchwałę do wiadomości wyborców okręgu kościańsko-śmigielsko-grodzisko-nowotomyskiego, wzywamy usilnie nasze władze wyborcze, aby agitacyą wyborczą gorliwie się zajęły, zaś wyborców prosimy gorąco, żeby władzom wyborczym w czynnościach agitacyjnych chętnie pomagali, a w dniu 4 listopada r. b. wszyscy bez wyjątku głosy swoje oddali na kandydata naszego

p. Franciszka Morawskiego z Poznania.

Kartki wyborcze będą brzmiały:

Franciszek Morawski,
Poznań—Posen, Louisenstr. 19.

Poznań, 26 października 1910.

Prowincyonalny Komitet Wyborczy na W. Ks. Poznańskie.

Stefan Cegielski, prezes. *Ks. Piotr Wawrzyniak,* wiceprezes.
Dr. Krysiewicz, sekretarz. *Michał Więckowski,* skarbnik.
Julian Brzeski. Władysław Grabski.
Dr. Kubacki. Ks. Mojzykiewicz
Jan Żółtowski.



Polskie pamiątki historyczne i polskie „Campo Santo“ w Dreźnie.

Drezno, 24. 10 10.

Z wszystkich miast w Europie najwięcej połączoną z historyą Polski jest bez zaprzeczenia stolica Saksonii.

Drezno do roku 1697 jako takie było mało znanem i niewyróżniało się od wielu innych miast niemieckich. Z chwilą osiągnięcia korony polskiej w roku 1697 Fryderyk August I. zostawszy królem polskim pod tytułem Augusta II. wyniósł Drezno jako drugą rezydencyę Polski.

Odtąd nastała nowa era, August II. jako król Polski pragnąc w przepychu i wspaniałości dorównać ówczesnemu królowi francuskiemu Ludwikowi XIV. nie szczędził kosztów i zabiegów, aby dawniejszą skromną rezydencyę Wettinów przemienić w przepych rezydencyi królów francuskich. Wedle wzoru słynnego pałacu w Wersalu rozpoczął w roku 1711 —1722 budowę do dziś pozostałego tak zwanego Zwingeru. Miał to być przeddziedziniec wiodący do pałacu, który niestety wskutek przedwczesnego zgonu Augusta II. 1733 r. nie został nawet rozpoczęty. Za przykładem króla, także wówczas licznie przebywający magnaci polscy stawiali dla swej wygody różne mniej lub więcej wspaniałe gmachy, jak np. książę Sułkowski wybudował dotąd istniejący pałac po za miastem nad Łabą w Uebigau. Większą część ozdobniejszych polskich siedzib prócz pałacu hrabiego Moszczeńskiego, w którym król pruski Fryderyk II. podczas oblężenia Drezna od 14 do 30 lipca 1760 zamieszkiwał, uległa zniszczeniu. Prusacy bombardując ówczesną twierdzę Drezno postanowili całe miasto zamienić w perzynę. Już 5 kościołów, 416 kamienic i kilka przedmieść zdewastowano i gdyby Austryacy nie byli na czas na odsiecz zdążyli, zapewne nie byłoby z bogatych zbiorów z czasów Augustów II. i III., jakie dziś w skarbcu Gruenes Gewoelbe i innych muzeach podziwiamy, ani znaku ani śladu pozostało.

Z polskich pamiątek dotąd pozostałych spotykamy w historycznem muzeum przy Augustusstr. pancerz króla Jana Sobieskiego, jaki miał na sobie podczas odsieczy Wiednia 1683 r. Następnie wspaniały namiot Kary Mustafy i różne okazałe zdobycze wiedeńskiej wyprawy. Po części były one upominkiem króla Jana III. ofiarowanym Janowi Jerzemu, elektorowi saskiemu jako współtowarzyszowi odsieczy wiedeńskiej, po części przywieziono je za panowania króla Augusta II. w roku 1717 z Krakowa do Drezna.

Na uwagę zasługuje pałasz króla Stefana Batorego z napisem: Pro Deo, fide et patria. Dalej spotykamy halabardy z herbami polskiemi, które służyły gwardyi z młodzieży polskiej złożonej. Jest piękna chorągiew tej gwardyi, również chorągiew z orłem polskim i herbem saskim, która niegdyś w uroczystościach drezdeńskich Polskę przedstawiała. Pełna szafa bogatych ozdobnych karabel polskich, szyszaki husarzy polskich. Wypchany koń króla Stanisława Leszczyńskiego w bogatym rzędzie, ten sam, na którym odbywał wjazd swój do Warszawy w roku 1705, gdzie 4 października przez arcybiskupa lwowskiego Konstantyna Zielińskiego koronowany został.

Skarbiec królewski tak zwany Gruenes Gewoelbe mieści w swych salach obok bogatych zbiorów sztuki i drogocennych klejnotów drogocenniejsze pamiątki polskie, do których w pierwszym rzędzie zaliczyć należy buławę króla Jana Sobieskiego, dalej koronę Augusta III., którą dnia 17 stycznia r. 1734 został przez biskupa krakowskiego Lipskiego na króla polskiego koronowany. Prócz tego liczny zastęp drogocennych dzieł sztuki zaopatrzonych w herby polskie i insygnia królewskie, świadczy o świetnej przeszłości i bogactwie, jakiem ówczesna Polska od sąsiadów swych się wyróżniała.

W słynnej galeryi obrazów zebranych początkowo za panowania króla

polsko-saskiego Augusta III. od r. 1733 —1763 spotykamy z dzieł malarzy polskich zaledwie dwa obrazy: 1) Przeprawa rycerstwa polskiego przez rzekę powracającego z zdobyczą z pod Wiednia. Malował Józef Brandt w Warszawie ur. 1841 w Szczebrzeszynie w Polsce; obecnie przebywa w Monachium jako profesor akad. malarskiej. 2) Obrazek przedstawiający jednokonny wóz drabiniasty, stojący w śniegu na popasie, wykonał Alfred Wierusz Kowalski ur. 1849 r. w Suwałkach w Polsce, obecnie przebywa w Monachium jako profesor akademii malarskiej.

Prócz nieocenionej wartości skarbca Gruenes Gewoelbe, muzeum historycznego, galeryi obrazów posiada Drezno zbiory wszelkiego rodzaju sztuki i starożytności, między innemi nieoceniony zbiór porcelany, wśród której spotykamy także serwisy z polskiemi herbami.

Również w bibliotece królewskiej w tak zwanym Japońskim pałacu znajduje się niezliczona ilość dzieł polskich, z których wolno każdemu na miejscu korzystać.

Drezno od czasów wstąpienia na tron polski Augusta II. r. 1697 jako druga stolica Polski stało się ulubioną siedzibą magnatów polskich, nawet po śmierci Augusta III. w r. 1763 nie straciło swego powabu a w końcu stało się głównym etapem i schroniskiem polskiego wychodźtwa. Tu przebywał Tadeusz Kościuszko, książę Józef Poniatowski, Ursyn Niemcewicz, Kazimierz Brodziński, Adam Mickiewicz, Zygmunt Krasiński, Juliusz Słowacki, Fryderyk Chopin, Wincenty Pol, Teofil Lenartowicz, Klementyna z Tańskich Hofmanowa, Ignacy Paderewski. Tu mieszkał i pracował przez długie lata od roku 1864 do 1884 Józef Ignacy Kraszewski.

Jak wszędzie tak i w stolicy Saksonii duch czasu i silny prąd postępu i rozwoju nie pozostał bez śladu.

Drezno ongi ciche i spokojne miasto, jeszcze przed 40 laty liczące zaledwie 120,000 mieszkańców, dziś liczy przeszło pół miliona. Z pobytu dawniejszej imponującej kolonii polskiej pozostało zaledwie wspomnienie a jedynie polskie Campo Santo przechowujące prochy zasłużonych przodków naszych na starym cmentarzu katolickim przy Friedrichstrasse 54 dzięki Opatrzności zachowało niezmienny charakter.

Na pierwszy rzut oka wyróżniają się okazałością i odrębnym stylem nagrobki: Kazimierza Brodzińskiego zmarłego 1835, St. Wojczyńskiego, jenerała dywizyi byłych wojsk polskich 1837, Mieczysława Chodkiewicza porucznika dywizyi b. wojsk polskich 1850, Romana Zmorskiego 1865, Franciszka Szemiotha, majora emigranta z roku 1831, 1882, hr. Gustawa Olizara 1865, Macieja Wodzińskiego senatora Król. Polskiego 1848, hr. Aleksandra Potockiego, pułkownika byłych wojsk polskich 1868, Antoniego Kuczyńskiego, Stolnika Podlaskiego 1811, Adama Bojanowicza, pułkownika byłych wojsk polskich 1852, Klemensa Habdank Kołaczkowskiego, jenerała b. wojsk polskich 1875.

Wszystkich grobów polskich jest 86, z tych wyróżnia się okazałością miejsce wiecznego spoczynku księżnej Felicytaty Lubomirskiej zmarłej 1855.

Wszystkie te groby począwszy od grobu twórcy sielanki „Wiesława“ i wzniosłych słów „Niechaj każdy czyni co każe duch Boży a całość się sama złoży“, przypominają nam obowiązek wobec społeczeństwa. Zwiedziwszy wszystkie mogiły walecznych przodków, smutne otoczą nas wspomnienia na ich bohaterskie wysiłki a przyjdzie może niejednemu na myśl piękne aczkolwiek bolesne wezwanie wielkopolskiego poety — jenerała Franciszka Morawskiego

„Stań przechodniu i pomyśl czy jest ziemia taka,
Gdzie nie płynie łza i krew Polaka?
Ptak ma swoje gniazdo, zwierz ma swoją jamę,
Każdy naród ojczyznę, Polak groby same.“

Tak smutnym wyrazem podnosząc ważność wielkiego dnia żałoby pozwalamy sobie zaprosić uprzejmie Szanownych Rodaków zamieszkałych w Dreźnie i okolicy na mszą świętą odbyć się mającą w niedzielę dnia 30-go października rano o godzinie w pół 10-tej w kościele nadwornym przed ołtarzem św. Ignacego na intencyą zmarłych ziomków.

Tegoż samego dnia po południu o godzinie 3-ciej gremialne zwiedzenie licznych grobów polskich na starym cmentarzu katolickim Friedrichstr. 54.

Następnie o godz. 4 wspólny pochód na nowy cmentarz przy ulicy Bremerstrasse 20.

O łaskawy liczny współudział prosi jaknajuprzejmiej w imieniu Tow. Przemysłowców

J. F. J. Komendziński.

Nauki są to owoce słodkie, zbierać się nie dające bez pracy i znoju, osadzone na drzewie tysiącem przeszkód opasanem, do którego przedzierać się trzeba ciągłem pokonywaniem trudności. *Jan Śniadecki.*

Wiadomości.

— Tylko stałą i wytrwałą agitacyą można rozpowszechnić gazetę, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności zachęcali sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy.“ „Praca“ jest najodpowiedniejszem i najtańszem dla rodzin wszelkich stanów illustrowanem pismem tygodniowem.

— Przy grach i zabawach, przy uroczystościach publicznych i podczas zebrań towarzyskich —wszędzie i zawsze pamiętajmy o składkach, choćby groszowych, na Dar Grunwaldzki dla Towarzystwa Czytelni ludowej.

Na cel powyższy nadesłał na nasze ręce w dalszym ciągu p. Stanisław Jałoszyński z Babina pod Strzałkowem 1 mrk.

Dalsze datki przyjmujemy.

— **Odezwa.** Stowarzyszenie bezpłatnego wykazu pracy przy Związku kobiet pracujących, którego potrzebę i doniosłość staraliśmy się już kilkakrotnie wykazać, wzięło za cel swej działalności dostarczanie kobietom pracującym zajęcia odpowiedniego ich zdrowiu i zdolnościom.

Stowarzyszenie nie zajmuje się umieszczaniem wykwalifikowanych służących i kucharek, zachęca natomiast młode dziewczęta do przyjmowania służby w domach, gdzie mogą się nauczyć pracy użytecznej. Mamy w tem do zwalczania niejedne trudności ze strony ludu, uprzedzonego do oddawania córek w służbę, a zwłaszcza do wysełania ich na wieś. Pomimo to umieściliśmy od grudnia z. r.:

3 ekspedyentki, 4 dziewczęta do posyłek, 4 książkowe, 6 krawcowych, 15 uczennic kucharstwa, 15 początkujących pokojowych, 3 uczennice prania i prasowania, 1 uczennicę haftu, 2 uczennice szycia, 2 stenotypistki, 15 posługaczek, 14 uczennic gospodarstwa, 5 do dzieci, 2 do pielęgnowania chorych. Ogółem 97. Z tego na wieś 22.

Działalność nasza zdaje się być zatem bardzo na czasie. Nie mając na celu osobistego zysku, możemy tem sumienniej spełnić nasze społeczne zadanie, stać się łącznikiem pomiędzy pracodawcami a pracobiorcami, zawsze chętnie jednym i drugim oddać przysługę.

Do całego naszego społeczeństwa odzywamy się z prośbą, aby ułatwiło nam pracę. Panie ze wsi i miasta niechaj coraz liczniej zechcą zgłaszać się do naszego biura (św. Marcin 69 II. p.) po młodsze pokojowe, dziewczynki do dzieci, po uczennice do kuchni, pralni itd.

Panów kupców i przemysłowców prosimy również, aby przy uzupełnianiu swego personału pamiętali o naszem biurze, które polecić im może wykwalifikowane kasyerki, książkowe, sprzedawaczki.

Tylko wspólną pracą zdołamy stworzyć dzieło trwałe i prawdziwie pożyteczne. Przyszłość nasza zależna od samopomocy całego społeczeństwa, od jasnego zrozumienia przez wszystkich obowiązków czasów obecnych i od dorzucenia przez każdego z nas choćby małej cegiełki do ogólnej, mozolnej budowy dobra społecznego. Przejęci tą ideą, sami stajemy do pracy i prosimy o jaknajszersze zainteresowanie się naszem Stowarzyszeniem i popieraniem takowego.

Zarząd
Stowarzyszenia bezpłatnego wykazu pracy.
(Sekcya związku katolickich kobiet pracujących).

A. Wolska, sekretarka. **E. Stablewska,** (Plac Królewski 6).

— **Z Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych — ul. Bismarka 8.** Zwracamy uwagę, że w krótkim czasie zamkniemy wystawę tatrzańską i wielkopolską. Aby wszystkim ułatwić zwiedzenie ciekawych, a tak rzadko dostępnych dzieł sztuki tatrzańskiej, zniżamy cenę wstępu **na 10 fen. w niedzielę i święta.** W lokalu naszym obejrzeć można artystycznie wykonaną reprodukcyę obrazu Ubielewskiego znakomitego malarza polskiego z XVII. w., przeznaczoną na premię tegoroczną.

Wystawa otwarta codziennie od 10-tej do pół do 2-giej — od pół do 3-ciej do 6-tej, w niedzielę i święta od pół do 12-tej do 4-tej. Wstępne wynosi 50 fen., dla młodzieży 25 fen.

Zarząd.

— **Wielką zabawę ludową** urządza Towarzystwo Śpiewu „Halka" w Jeżycach w sobotę, dnia 5-go listopada r. b. na sali p. Mettlera, (park spacerowy). Odegraną zostanie nader poważna sztuka ludowa p. t. „Wiara, Miłość i Nadzieja" — melodramat w 4 aktach przez Adama Staszczyka, muzyka Fr. X. Zaremby. Ponieważ amatorzy dokładają wszelkich starań, możnaby się spodziewać, że przedstawienie to zostanie dobrze odegrane, co z pewnością sprowadzi licznych gości. Zaznaczyć jeszcze wypada, że sztuka wzmiankowana, pominąwszy śliczne sceny, obejmuje 18 śpiewów, w tem 8 chórowych i 3 figurowe tańce. Wstępne wynosi 1,00, 0,75 i 0,50 mrk. Po przedstawieniu odbędą się tańce. Ponieważ Tow. Śpiewu „Halka" swemi występami wyjednało sobie sympatyę ogólną, przeto spodziewać się można, że Szan. Publiczność poprze dążenia „Halki," a drużynę śpiewaczą zachęci do tem gorliwszego pielęgnowania naszej pieśni.

— **„Quo Vadis,"** Oratoryum dramatyczne Feliksa Nowowiejskiego, Dyrektora Towarzystwa muzycznego w Krakowie, wykonane będzie w sezonie bieżącym w następujących miastach: Londynie (Filharmonia), Amsterdamie, Heilbronie, Kempten, Fürth, Altenessen, Pirmasens, Esslingen, Herzogenbusch, Zgorzelicach, Trewirze, Milwaukee, Chicago Ameryka, Nijungen - (Holandya), Arnheim, Cleve, Kłodzku, Bernie, Ołomuńcu, Bremenhaven, Insbruku, Gdańsku, Kilonii (Filharmonia), Głogowie, Bambergu, Lipsku (chór Filharm. w lutym), Hadze.

— **Gołuchów,** powiat pleszewski, d. 19. 10. 1910. Dnia 9-go b. m. zostało tutaj założone Tow. Śpiewu „Harmonia." Zebranie celem założenia zwołał p. Józef Radomski. Do Zarządu zostali wybrani: prezesem Imc. ks. proboszcz Mann, zastępcą p. J. Radomski, sekretarzem p. K. Borowski, dyrygentem p. St. Szczepański, skarbnikiem p. St. Malinowski. Na członków zapisało się 65 osób.

Jeden z członków.

Od Redakcyi: Nowo założonemu Towarzystwu ślemy życzenia jak najlepszego powodzenia.

Nekrologia.

† **Ś. p. Teodor Śliwiński,** kapitalista, były długoletni urzędnik gospodarczy w dobrach Edwarda hr. Ponińskiego z Wrześni, dnia 24-go b. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 63. Nieboszczyk był dobrym Polakiem, gorącym patryotą i gorliwym czytelnikiem, oraz zwolennikiem „Pracy" od początku istnienia naszego tygodnika. — **Ś. p. Olga z Dychtowiczów Sierodzonowa,** dnia 18-go b. m. w 55-tym roku życia w Poznaniu. — **Ś. p. Zygmunt Rutha,** nauczyciel, dnia 20-go b. m. w Poznaniu w 43-cim roku życia. — **Ś. p. z Janiszewskich Agnieszka Dropik,** dnia 18-go b. m. w Szczytnikach, przeżywszy lat 91. Pogrzeb odbył się w Kłecku dnia 22-go b. m. — **Ś. p. Seweryn Tuszewski,** tapicer, dnia 19-go b. m. w Poznaniu na Jeżycach, przeżywszy lat 46. — **Ś. p. Elżbieta Milich z domu Drożdżewska,** dnia 19-go b. m. w Poznaniu na Wildzie, przeżywszy lat 66. — **Ś. p. Kazimierz Starczewski,** dnia 21-go b. m. w Poznaniu, skończywszy lat 83. — **Ś. p. Jan Nepomucen Śliwiński,** weteran z 1863-go roku, dnia 22-go b. m. w Poznaniu na św. Łazarzu w 87-mym roku życia. — **Ś. p. Pelagia z Adamskich Szubertowa,** dnia 21-go b. m. w Gnieźnie w 87-mym roku życia. — **Ś. p. Julia Załęska z domu Rogowska,** dnia 18-go b. m. w Bożepolu szlacheckiem w Prusach Zach., przeżywszy lat 86. Pogrzeb odbył się dnia 24-go b. m. w Starej Kiszewie. — **Ś. p. Piotr Walkowiak,** dnia 21-go b. m. w Poznaniu na Jeżycach. — **Ś. p. Jan Dziurkiewicz,** dnia 21-go b. m. w Poznaniu na Jeżycach. — **Ś. p. Walenty Sołtysiński,** dnia 22-go b. m. w Szubinie w 75-tym roku życia. Pogrzeb odbył się w Chlewiskach dnia 26-go b. m. — **Ś. p. Augustyn Polczyński,** dnia 23-go b. m. w Witkowie, przeżywszy lat 84. — **Ś. p. Dr. med. Władysław Neumann,** dnia 23-go b. m. w Chełmnie, znany lekarz toruński, przeżywszy 42 lata. Nieboszczyk oddany z całem poświęceniem szlachetnemu zawodowi, zaskarbił sobie uznanie szerszych kół społecznych. — **Ś. p. Walenty Kleśnicki,** dnia 21-go b. m. w Linówcu w Prusach Zach., przeżywszy lat 84. Pogrzeb odbył się dnia 25-go b. m. w Kokoszach. — **Ś. p. Matka Marya Ludwika Gilgenheimb, Urszulanka,** dnia 15-go b. m. w Karłowicach. — **Ś. p. Marceli Krzesiński,** dnia 19-go b. m. w Kościanie w 68-ym roku życia. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu W. O. w Poznaniu.** — Nadesłany wiersz p. t. „Na cmentarzu" nie jest bez usterek, więc w „Pracy" nie będzie drukowany.

— **Panu I. M. K.** — Adres Rodziewiczowej wskaże Szan. Panu księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu przy św. Marcinie.

— **Samoukowi.** — Wyraz „marazm" znaczy: wycieńczenie, osłabienie skutkiem starości, uwiąd starczy, zniedołężnienie.

— **Panu Sylwestrowi Wyssogocie Z. w Poznaniu.** — Listy Szan. Pana przeczytaliśmy z zainteresowaniem.

—**Panu Franciszkowi C. w P. pod Grodziskiem.** — Za odnoszenie „Pracy" do domu ma poczta prawo żądać 12 fenygów. Kto sam odbiera „Pracę" z poczty ten 12 fenygów płacić nie potrzebuje.

Nowe książki i treść pism.

— *Tadeusz Sokeski.* **„Gospodarstwo Podwórzowe",** odbitka z „Poradnika Gospodarczego" czcionkam „Dziennika Poznańskiego".

„Gospodarstwo Podwórzowe" jest oryginalną pracą, napisaną bez użycia jakichkolwiek podręczników niemieckich. Książka ma służyć pisarzom gospodarczym i młodszym urzędnikom jako instrukcya; zawiera przytem tyle praktycznych nowości, że dla każdego jest pożyteczną. Nawet nie rolnicy będą ją czytać z zainteresowaniem. Autor tej książki pisze także przeglądy rolnicze do „Pracy" pod pseud. Rusticanus. Cena broszury 80 fen. Główny skład w księgarni p. Niemierkiewicza przy placu Wilhelmowskim.

— **Miesięcznika kościelnego"** ukazał się zeszyt 23-ci na listopad i zawiera:

Kongres Maryański w Salcburgu. (Ks. W. Szymbor). — Z powodu encykliki papieskiej o św. Karolu Boromeuszu. (Ks. Euzebiusz Stateczny). — Prawo kościelne o postępowaniu w sprawach karnych. (Ks. dziekan Kotecki). — Darwinizm a stanowisko Kościoła katolickiego. (Dokończenie). (Ks. prof. Dr. Gabryl.) — Św. Franciszek z Asyżu na tle swojego wieku i społeczeństwa. (Dokończenie). (Ks. Euzebiusz Stateczny, Zak. Br. Mn.) — Sakrament Pokuty w wychowaniu. (Ks. W. Gadowski) — Zapiski. — Rozporządzenia władz kościelnych. (H.) — Orzeczenia władz świeckich. — Nowe książki. — Wzmianki. — Zestawienia. — Zawiadomienie.

Jest w nas ta szczęśliwość, ten instynkt szlachetny, że co dobre i użyteczne dla nas, to pojmujemy prędko, czujemy serdecznie i uwielbiamy ze szczerością, która dowodzi, jak delikatnym jest w nas ten zmysł, pokazujący co nam potrzebne, jak głębokiem jest to uczucie miłości dla tego zakątka ziemi, który radzibyśmy widzieć kwitnącym i szczęśliwym. Ale niestety! chwalebne to i święte dla dobra bliźnich usposobienie jest zawsze tylko słowem, którego nie umiemy w czyn zamienić i zrobić go duszą i ciałem. Wszystko nam w tej mierze przeszkadza: brak silnej i energicznej woli, najgorsze wychowanie, próżność światowa, absorbująca czas i fundusze, moda, przez którą myślą i sercem żyjemy za granicą i nieszczęśliwy nałóg wiecznego bawienia się. Spieszymy do własnej ruiny tak systematycznie i z takim zapałem, jak gdyby przy każdym z nas stał Twardowski i szeptał nam i dyktował, jak się najzręczniej zgubić i najweselej do rąk jego dostać.

Józef Korzeniowski.

Nadesłane.



SONETY.

Ainsi tout change, ainsi tout passe,
Ainsi nous-même nous passons,
Hélas! sans laisser plus de trace,
Que cette barque où nous glissons,
Sur cette mer oú tout s'efface.
Lamartine.

I.

LIŚCIE JESIENNE.

Lecą liście powiędłe, jak na znak żałoby,
I drzewa stoją nagie odarte z zieleni,
Wsłuchane w pieśń jesienną, co w pustej przestrzeni,
Pełna smutku podąża gdzie krzyże i groby.

Bo z cmentarnego parku zbiegły już skowronki,
W kraj wiosny, gdzieś daleko, tam gdzie słońce pali,
I zachodzi purpurą szkarłatnych korali,
A tu śron srebrnobiały zwarzył kwietn e dzwonki.

Liście, jako tułacze, na los wiatru zdane,
Pędzą w szalonym wirze w te śmiertelne tany,
Co jak westchnienie wkrótce będą zapomniane.

Tak i po naszej śmierci — pamięć gdzieś zaginie,
Może w rocznicę zgonu, ktoś pacierz odmówi,
A w dziesiątek lat później — zatrze się wspomnienie.

II.

DZIEŃ ZADUSZNY.

Fala smutku drży jękiem w cmentarnej zaciszy,
Dokoła śmierci żniwo czerni się krzyżami,
To dziś święto umarłych co kiedyś ze łzami,
Żegnali padoł płaczu wśród bólu i ciszy.

Tu im wieńce złożono na dowód miłości,
Co silniejsza od śmierci, składa w darze kwiaty,
I modlitwa gorąca płynie gdzieś w zaświaty,
Kędy spoczynek wieczny nieprzerwanie gości.

Śmierć, cmentarz i grób cichy — wielka tajemnica,
Nie zbada jej żyjący filozof uczony,
Ani jej nie podpatrzy ciekawych źrenica.

Kwiat może co na grobie tęsknotą zakwita,
Mógłby nam coś powiedzieć o dziejach wieczności,
Która z nieśmiertelnością łańcuchem spowita.

III.

DZWON.

Dzwon zwiastunem jest śmierci, to sygnał grobowy,
Co zawsze lękiem jakimś powietrze przeszywa,
Kołysząc się wysoko, jakże smutnie śpiewa,
Ten swój hymn nieśmiertelny, długi, pogrzebowy.

Pieśń jego tak ponura, tak pełna zagłady,
Jak rozpaczny płacz duszy co bezradnie stoi,
Nie mając ku obronie ni miecza, ni zbroi,
Unika ludzi wokół — bojąc nowej zdrady.

On zgonu zapowiedzią — czasem wyzwolenia —
Ostatnie pożegnanie co nas wszystkich czeka,
Z nadzieją, że się skończą raz wszystkie cierpienia.

Gdy przebrzmią echa dzwonu — zajaśnieje życie,
To inne, zagrobowe jutrzenką pogody,
Dając smutnym pieszczotę zdobytą w błękicie!

Poznań, d. 30. 10. 10.

Marja Paruszewska.





Zarząd Kółka rolniczego w Jazach.

Kółka rolnicze w Galicyi.

Kółka rolnicze w Galicyi rozwijają się ciągle i stale z dniem każdym, o czem świadczą niżej podane cyfry z miesiąca lutego r. b.

W miesiącu tym powstało 39 nowych Kółek rolniczych i przybyło ogółem 1763 nowych członków. Wobec tego ogólna liczba Kółek rolniczych wynosiła z końcem lutego b. r. 1889, a ogólna liczba zorganizowanych w tych Kółkach i zaopatrzonych w legitymacye członków 59.287. Nowych straży pożarnych Kółek rolniczych powstało w miesiącu lutym b. r. 10, — zatem ogólna liczba straży pożarnych wynosiła z końcem lutego b. r. 315. W tymże miesiącu wysłano do 25 czytelń kółkowych (czytelnie istnieją prawie przy wszystkich Kółkach) po jednym komplecie (55) książek.

O rozwoju, pracy, ruchu i t. p. w Kółkach galicyjskich świadczy najlepiej następująca korespondencya z **Kółka rolniczego w Jazach pod Niepołomicami:**

Kółko rolnicze w Jazach powstało równocześnie z wielu innemi Kółkami we wschodniej i zachodniej Galicyi. Rozwojem jednak i intensywnością pracy i ruchu wyprzedziło znacznie inne Kółka, czego dowodem niech będzie choćby postawienie własnego domu już po 5 latach istnienia. Inicyatywę dał ks. Józef Batko, organizator i prezes kilku okolicznych Kółek — jakoteż młody włościanin Jan Czuma samouk, ożywiony najlepszemi chęciami pracy około społecznej i narodowej budowy. Myśl podniesioną zrealizowano 25-go listopada 1905 roku. Lokal łatwo się znalazł, użyczył go mianowicie bezinteresownie Franciszek Czuma — odstępując dużą izbę na miejsce zebrań i pogadanki oświatowe. Początkowa działalność ograniczała się do przygotowania gruntu pod skupienie ludu około jednej myśli, jednego celu, a tym celem miało być uświadomienie wszechstronne, pojęcie obowiązków względem ojczyzny, nauki i cnoty obywatelskiej. Jakoż starania nie szły na marne, rzucony siew wydał plon doniosły. Dużo miejsca zabrałoby wyliczanie powolnego rozszerzania się idei, wspomnę tylko, że w tak krótkim czasie stosunkowo potrafiło Kółko rolnicze zyskać handel win, trafikę, sprzedaż znaczków pocztowych, zbudowało własną szopę na sprzedaż węgla, robiąc przez to nie małą konkurencyę rozpanoszonym kupcom żydowskim, sprowadziło wielką ilość sztucznych nawozów, mąki, kaszy, cukru, mydła, go i co do dobroci wyżej stojącego towaru względnie wyrobów.

Do roku 1908 przewodnictwo dzierżył niestrudzony i zasłużony ks. Józef Batko, jako sekretarz, bibliotekarz — słowem jako głowa rarźnie się rozwijającego Kółka. Przeniesienie księdza Batki do innej parafii odebrało Jazom dzielnego kierownika, zaczem poszło chwilowe zamieszanie — aż znów ks. Marcin Zalewski objął osieroconą godność. Niedługo jednak utrzymał się, bo otrzymał probostwo w Herbutowicach. Przyszedł na jego miejsce ks. Piotr Graczyński — obecny przewodniczący naszego Kółka. Za jego przewodnictwa zrodziła się doniosła myśl zbudowania własnego domu — gdzieby mogło się pomieścić podczas zebrań 164 członków — gdzieby mogły swobodnie rozwijać się miejscowe oddziały „Koła T. S. L. im. Tadeusza Kościuszki“ — i „Tow. O. Ludowej,“ „Te-



Dom Kółka rolniczego w Jazach.

czernidła, narzędzi rolniczych i t. d., popierając przez to wyroby krajowych firm i fabryki, a z drugiej strony, dostarczając miejscowej ludności tańsze-

atr i chór włościański“ — tudzież Spółka oszczędności i pożyczek systemu Raifeisena. Z darów poszczególnych osób, z dochodów ubocznych, ze skła-

dek członków powstał piękny dom, którego zdjęcie, dokonane przez p. Józefa Srokę, lustratora straży pożarnych Kółek rolniczych, tu zamieszczamy.

Równocześnie prawie, równolegle jako bratnie towarzystwo, ukonstytuował się „Teatr i chór włościański“ w Jazach, dając przez czas swego istnienia po dwakroć „Chłopów Arystokratów“ i „Jaśka Sierotę“, po razie „Łobzowian,“ „Błażka opętanego,“ „Zrękowiny,“ „Wóz Drzymały,“ „Jeden z nas ożenić się musi,“ tudzież cały cykl monologów. Obecnie pod dyrektywą Jana Mączyńskiego i Ignacego Czumy — myśli już wziąć się do „Wesela“ Wyspiańskiego.



Teatr amatorski w Jazach.

Zamieszczona oprócz domu i teatru grupa Zarządu ma w swym środku p. Franciszka Czumę, przez przeciąg pięciu lat stałego zastępcę przewodniczącego, po prawej stronie siedzi Jan Czuma — sekretarz, z lewej Jan Jaskólski poważany włościanin, skarbnik Kółka.

Ignacy Czuma,
członek Kółka roln. w Jazach ad Niepołomice i sekretarz „Teatru i chóru włościańskiego.“

Młodość jest jak przedmowa do książki: czasem książka co innego zawiera, nie to, co obiecywała przedmowa.
Alojzy Żółkowski.

* * *

Kto krok czyni ku dobremu, już ma zasługę, bo ośmiela następców, bo wskazał przykład.
Tadeusz Czacki.



G. Smólski.

Wojciech Brzega
art. rzeźbiarz i gwarowy pisarz tatrzański.

Po Witkiewiczu, który od dwóch lat bawi dla zdrowia w Lowrano koło Abazyi, dzierży berło stylu zakopiańskiego i kulturalnego rozwoju góralszczyzny znany artysta rzeźbiarz *Wojciech Brzega*, zarazem wybitny pisarz gwarowy i nadzwyczaj czynny działacz społeczny wśród swoich, mąż, u którego nastrój idealny i wielka zdolność artystyczna łączy się z poczuciem potrzeb życia, u którego piękne spaja się harmonijnie z pożytecznem pod zdrowem hasłem: przez lud dla narodu. Jako syn chłopa-górala, urodzony w r. 1872 w Zakopanem, odziedziczył on zdolność artystyczną, tworzącą przyrodzenie w tym ludzie, wraz z zmysłem trzeźwej praktyczności, odszczególniającym naszych górali, a ta trzeźwość praktyczna znajduje wszędzie w jego wielostronnej czynności wyraz, mianowicie w stosowaniu stylu zakopiańskiego, którego on jest głównym orędownikiem, do potrzeb życiowych, co zdziałało, iż obok pracowni rzeźbiarskiej posiada on osobną stolarnię, bardzo zajętą, dla wyrobu mebli w stylu zakopańskim, nadzorując ją i kierując nią osobiście, biorąc zarazem czynny udział w świeżo zawiązanej w Zakopanem Spółce dla wyrobu kilimów w tym stylu. Czynność ta w praktycznym kierunku nie przeszkadza mu bynajmniej w zajęciu ściśle artystycznem, jak o tem świadczy jego pracownia rzeźbiarska, zawierająca doskonałe dzieła sztuki jego dłuta.

Odwiedziłem go niedawno temu. Zajęty aż do przeciążenia pracą, gdyż nadto bierze on żywy udział we wszystkich kulturalnych i gospodarczych stowarzyszeniach górali, jako wierny syn góralszczyzny, którą całem sercem miłuje i której pozostał we wszystkiem wierny, w sposobie życia i nawet w stroju. Pracownia jego znajduje się przy samym końcu kościeleckiej ulicy a więc spory kawałek drogi przedziela ją od Krupówek. Posiada na swem *gazdowstwie* dwa domy, rozumie się w stylu zakopiańskim, z których w jednym, w tylnym mniejszym mieści się stolarnia, w przednim zaś mieszkalnym pracownia rzeźbiarska.

Uprzejmy *gazda*-gospodarz oprowadza mnie po swej pracowni, pokazując swe dzieła już skończone i będące w robocie. Są to głównie biusty portretowe: *Gnatowskiego,* obywatela z Ukrainy, przyjaciela Witkiewicza góralszczyzny, zbieracza starych zabytków góralskich, malarza Rozena, kilka znamiennych typów góralskich i wiele innych. Każda twarz odznacza się nie tylko wyborną charakterystyką, lecz ożywiona jest wyrazem duchowości, pokonującym martwość kamienia. Te twarze w kamieniu wydają się jakoby żywe były, jakoby w pełnem życiu co tylko skamieniałe. Zda się, iż usta ich jeszcze drgają a serce żywo bije. Artyzm to doskonały, skoro w martwy kamień umie tchnąć tyle życia i znamiennego wyrazu.

Gazda-rzeźbiarz przy wrodzonym wielkim talencie posiada wszechstronne wykształcenie artystyczne. Po ukończeniu szkoły rzeźbiarskiej w Zakopanem i po paroletniej pracy we Lwowie, Krakowie, Białej, Cieszynie i Warszawie studyował przez dwa lata w krakowskiej Szkole Sztuk pięknych, poczem uczył się rysunków w Monachium u profesora *Knira,* w końcu zaś był uczniem słynnego rzeźbiarza profesora *Thomas'a* w *„Ecole des beaux arts“* w Paryżu przez dwa lata. Skończywszy studya, wrócił do rodzinnego miejsca i odtąd jako artysta, pisarz i działacz społeczny poświęca swe zdolności i gorliwą pracę rozwojowi kulturalnemu góralszczyzny.

— Jako rzeźbiarz — mówił mi — robię głównie portrety. W szczególności zaś wziąłem sobie za zadanie rozwijać styl zakopiański w duchu Wit-

kiewicza, stosując go do istniejących potrzeb i warunków. W naszym ludzie góralskim tkwi wiele zdolności artystycznych i przyrodzonego popędu do sztuki, jak o tem świadczą wymownie stare pomniki pracy góralskiej, a właściwie sztuki ludowej: ozdoby domów z rozmaitych sprzętów, zbójnickie obrazy, malowane na szkle a szczególnie tak zwane *„świątki“*, służące do zdobienia domów Bożych, bardzo misternie z zachowaniem symetryi rzezane nożem z jednego kawałka drzewa. Motywy ludowe są dotychczas tylko w części wyzyskane, należy je stylowo stosować dalej, do potrzeb życia. W tym kierunku jest jeszcze wiele do zrobienia. Trzeba umiejętnie rozwijać motywy ludowe, jak to uczynił Witkiewicz w budownictwie, gdzie styl zakopiański robi znaczne postępy. Styl ten można z powodzeniem stosować w szczególności przy wyrobach drzewnych, jakoteż żelaznych i metalowych wogóle, przy tkaniu kilimków, przy skórnych wyrobach, w szczególności przy paskach i wogóle przy wyrobach galanteryjnych. Ja posiadam warsztat stolarski dla wyrobu mebli w stylu zakopiańskim. Dostarczam moim pracownikom nowych stylowych wzorów komponowanych przeważnie na podstawie samorodnych zabytków starych sztuki ludowej. Niedawno temu założyliśmy w Zakopanem Spółkę dla wyrobu kilimków, rozumie się w stylu zakopiańskim. Pracuję usilnie, by naszemu stylowi góralskiemu przysparzać pola, by coraz więcej, że się tak wyrażę, rozszerzyć jego zakres działania.

Z stylu zakopiańskiego przeszła nasza rozmowa na gwarę tatrzańską czyli „podhalską“, której równie gorącym miłośnikiem jest Wojciech Brzega, zajmujący między pisarzami wybitne stanowisko. Gdy na moją prośbę pokazał mi swoje utwory, w części drukowane w rozmaitych czasopismach, w części zaś pozostające jeszcze w rękopisie, zapytałem się go mimowoli na widok bardzo licznych prac, złożonych na stole:

— Mój Boże, kiedyż znajduje Pan, tak zajęty, czas na to?



Wojciech Brzega, artysta rzeźbiarz i gwarowy pisarz tatrzański.

— Gwara — odparł, — to najdroższy nasz klejnot, trzeba ją koniecznie pielęgnować i chronić od zaniku, gdyż w ostatnich lat dziesiątkach zanikać poczyna bardzo. Nie jest to moje tylko spostrzeżenie, lecz wszystkich zajmujących się tą piękną i bogatą gwarą ludową, pełną staropolskich archaizmów. Niesie to czas z sobą, i dziwna rzecz, postęp oświaty ludowej. Dziś u nas na Podhalu istnieją szkoły we wszystkich większych miejscowościach, a szkoły te są wyłącznie polskie bez uwzględnienia gwary ludowej. Język polski w szkole, choć to może na pozór dziwnie się wydawać, kazi narzecze ludowe, z drugiej strony oddziaływa na nie szkodliwie stykanie naszego ludu z letnikami. Te stosunki zdziałały, że dziś tylko już starzy ludzie władają poprawnie gwarą. Na ochronę gwary czas się znaleść musi.

Przeglądam utwory Brzegi: sporo opowieści, między temi „spisane podług opowiadania *Tomka Gadeji* z Kościelisk, sędziwego starca a rówieśnika Sabały, który za młodu podobnie jak ten był *„hornym hlopcem“* (zbójnikiem). Obok opowieści, których byłoby na spory tom, a może więcej — leżą obrazki sceniczne. Jest ich cztery: *„Bogini Żywie“*, *„Snisko“*, *„Nędza Litmanowski, groźny zbójnik z czasów Jana Kazimierza“*, a więc rzecz z podkładem historycznym, i *„Jasiek Wrobel“*.

Janosik Nędza *Litmanowski*, który jest też bohaterem najnowszej powieści Kazimierza Przerwy *Tetmajera*, żyje i sławiony jest w podaniach ludowych. Rzecz w utworze Brzegi dzieje się w obozie sławnego *harnadzia* (dowódzcy) zbójnickiego. Gwarno tu i żywo, pełno znamiennych postaci góralskich. *Pogwarka* (rozmowa) płynie wartko, jak potok górski. Wtem przybywa do zbójników w poselstwie dziewczę z Sącza, oblężonego przez Szwedów, wysłane przez mieszczan Sądeckich. Błaga *harnadzia*, by z swoimi *towarzyszami* szedł Sączowi, nieszczęśliwej Polsce z odsieczą. Krwawe stłumienie ludowego buntu pod Napierskim, w którym Litmanowski brał udział z swoimi, tkwi jemu jeszcze żywo w pamięci. Słucha jednak prośby dziewczęcia spokojnie i w milczeniu a wysłuchawszy ją gwiżdże na palcach, co ściąga ku niemu *towarzyszów* i chłopów, znajdujących się w jego leśnem obozowisku.

Harnadz odzywa się do nich:

„Hej hłopcy! towarzysio moi! Kie ślakta (szlachta) mściła *sie* na ludzie za Kostkowe powstanie, *wte* my *sie* tu zbiegli, coby zrobić *siłe i brónić sie. Ślimy* nocami w doliny a dwory my *hore* dymem puscali, coby *se nom widniej iść beło* i coby *ślakta* wie-



Wojciech Brzega.
Portret malarza Rozena. **Staruszka.**



Wojciech Brzega. **W kościele.**

działa, jako to *przez dahu* spać na polu. *Ślimy hetki* za Gorce a *syćko skrony* (z powrotu) tej *hłopskiej* niewoli, *skrony* krzywdy *nasej*. *Patrzeli* my w doliny z grani (wierzchowego grzbietu gór wysokich) tatrzańskiej. *Kieli* (jak wielki) to ten świat *nas* goralski. *Znajom nos w Gorcah, znajom w Jabłonkowskik gorak* na Ślązku a i Luptacy na Południcy i Orawcy na Dziumbirze. *Pytom sie wos: pudziemy* pod *Sąc* na *Śweda? pudziemy* królowi ze Śweda *droge* do *Sąca ocyscić?*

Wszyscy wołają chórem: Pudziemy! pudziemy z tobom harnadziu!

Zbójnicy zaczynają tańczyć *góralskiego*, odzywa się chóralny śpiew:

E dyć Litmanowski twoje mocne race
bedom odbijały Sądeckom stolice;
Sądeckom stolice i królewskie grody
bedzie se odbijoł Litmanowski mlody.

Litmanowski wchodzi w środek zbójników, muzyka zaczyna grać zbójnickiego. On strzela z pistoletu i woła donośnie:

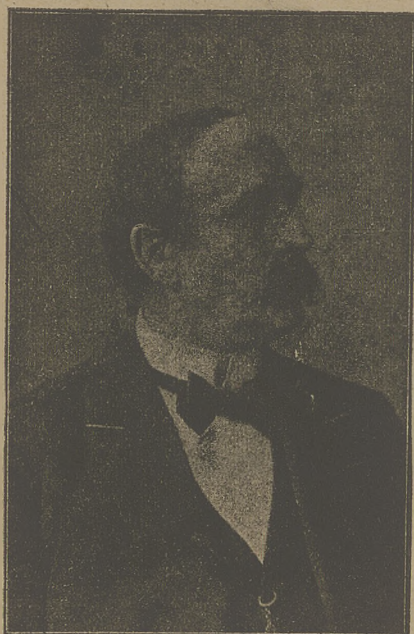
— Idźmy hłopcy!



Z bieżącej chwili.

Poseł Czarliński ustępuje.

„Gazeta Toruńska“ jest upoważniona do ogłoszenia, że długoletni poseł, prezes i wiceprezes Koła Polskiego p. Leon Czarliński po upływie obecnego



Poseł Leon Czarliński.

okresu ustawodawczego ponownie mandatu nie przyjmie ze względu na wiek podeszły (ukończy dn. 30 bm. 75 rok życia) i siły stargane.

Z Koła Polskiego ustępuje doświadczony parlamentaryusz, który zawsze stał na stanowisku narodowem i demokratycznem i wskutek tego w swoim czasie był szarpany w polskich gazetach konserwatywnych, bojkotowany towarzysko itd. Mimo to wytrwał na posterunku, aż doczekał się czasów, kiedy jego poglądy narodowo-polityczne wzięły górę w społeczeństwie, chociaż niestety dopiero pod obuchem ustaw wyjątkowych.

Poseł Czarliński po raz pierwszy wstąpił do sejmu 12-go stycznia roku 1876, a wybrany został już w roku 1875 w okręgu chojnicko-tucholskim.

* * *

Ksiądz proboszcz Gryglewicz ze Ślesina. stawał świeżo przed izbą karną w Bydgoszczy, pociągnięty do odpowiedzialności z powodu patryotycznego kazania, wygłoszonego z ambony w drugie święto Wielkanocy i ogłoszenia go w „Nowej bibliotece kaznodziejskiej“.



Ks. prob. Gryglewicz ze Ślesina.

Ksiądz Gryglewicz, ukarany już 500 markami z powodu strejku szkolnego, powiedział w tem kazaniu: „Nie rozpaczajmy, bo i dla nas dzień zmartwychwstania nastąpi, gdyż nie podobna przypuścić, żeby ucisk miał trwać wiecznie. Trzeba nam tylko cierpliwości i wytrwałości, cnót obywatelskich i pracy nad dziećmi i około dorobku. Wtenczas doczekamy się zmartwychwstania i wesołego Alleluja.“

Prokuratorya dopatrzyła się w przypominaniu pruskich ustaw wyjątkowych i porównaniu narodu polskiego z Chrystusem zmartwychwstałym „podburzania ludności polskiej przeciwko Prusom“ i wytoczyła księdzu Gryglewiczowi proces na podstawie paragrafu o ambonie.

Wniosek prokuratora o wykluczenie publiczności trybunał odrzucił.

Przewodniczący trybunału twierdził, że Polakom w Prusach powodzi się dobrze a podobne kazania budzą niezadowolenie, na co odparł ksiądz Gryglewicz, że księża nie podburzają, ale raczej uspakajają.

Do obrony p. dr. Nowickiego dodał ksiądz Gryglewicz, że dola ludu polskiego jest smutną, a jeżeli nie pocieszy go ksiądz, uczyni to socyalista.

Prokurator wniósł *o pięć miesięcy więzienia fortecznego*, a trybunał skazał księdza proboszcza Gryglewicza na *3 miesiące więzienia fortecznego.*



Na dzień zaduszny.

Pójdź ze mną w dzień dzisiejszy—wśród świateł pożogi
Szarą krzyżów aleją — pójdź! — nie pytaj — czemu?
Ustrój szatę godową — do tej dziwnej drogi
I we włosy twe cudne — włóż kwiat chryzantemu.
Umarłych dzisiaj święto! — Czyż my żyjem jeszcze?
Czyż nam rozpacz serca nie stargała w strzępy
I ból zawładnął duszą beznadziejny — tępy —
Że obce nam już życie, — obce szału dreszcze.
Pójdź! — wynajdziem grób cichy — co nas przyjmie godnie—
Choć żadna lampa na nim nigdy nie zapłonie
Po cóż? — wszakże pożary co nam biły w łonie
Za całego świata starczą dziś pochodnie. —
— — — — — — — — —
Umarłych smutne święto! — w powodzi złocieni
To nie cmentarz — — drzy świec płomień złoty —
Umarłych dzisiaj święto!... pójdźmy śladem cieni
I nam dusze zamarły od łez i tęsknoty...

Jadwiga Gembarzewska.



Z żałobnej karty.

Ś. p. Wawrzyniec hr. Benzelstjerna Engestroem.

Nieubłagana śmierć zabrała nam jedną z najwięcej znanych, najwięcej szanowanych i bardzo sympatycznych postaci naszego grodu. W dniu 22-go b. m. zasnął w Bogu w domu swej wnuczki z hr. Szembeków Lossowowej w Gryżynie Wawrzyniec hr. Benzelstjerna - Engestroem. Nieboszczyk od lat kilkudziesięciu zamieszkiwał w Poznaniu i był jedną z najpopularniejszych jego osobistości.

W ciągu lat kilku rzeźki mężczyzna zamienił się w starca, lecz nie dziw, bo osiem krzyżyków przygniotło jego barki.

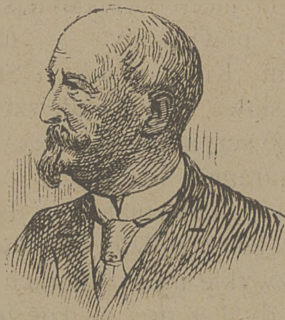
Wawrzyniec hr. Benzelstjerna-Engestroem urodził się w r. 1829 w Poznaniu z ojca jenerała Stanisława i matki Leokadyi z Gajewskich. — Studya swe kończył pod okiem i przywództwem Kremera w Krakowie, i stąd też wyniósł niezwykły zapał dla sztuki, wielkie jej zrozumienie i subtelny zmysł artystyczny. W r. 1846 i 48 należał do ruchów wolnościowych i dwukrotnie odsiadywał kaźń więzienną dla świętej sprawy. Czas dłuższy przebywał w Dreźnie, ożeniwszy się w r. 1852 z Jadwigą Borzewską osiadł na roli w Królestwie Polskiem, następnie zamieszkał w W. Ks. Poznańskiem w Ostrowieczku, a w końcu na stałe osiedlił się w Poznaniu. W r. 1880 odziedziczył majorat i nazwisko Benzelstjerna.

Natura wytworna, o formach wykwintnych, charakteru czystego, jak łza, spółcześnik wielkich ruchów narodowych, wolnościowych i umysłowych, pełen dobrej woli, przytem obdarzony temperamentem i podziwu godną wytrwałością, umiał wszędzie, gdzie stanął do pracy, zająć miejsce poczesne.

Mając materyalnie byt zapewniony, oddawał się poezyi i sztuce — a przez lat 26 był generalnym sekretarzem Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu. — On też starał się wszczepiać w społeczność naszą zamiłowanie do sztuki, urządzając wystawy krakowskiego Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych.

Wielką jest zasługą jego, że starał się zapoznać nas z poetyckiemi utworami Szwecyi, tłumacząc je zręcznie na język polski — n. p. poezye Tegnera, króla szwedzkiego Karola XV. i t. d. Oprócz tego wydał sporo utworów oryginalnych poezyą i prozą—wszystkie odznaczające się wycyzelowanym stylem i gładkością rymu.

Spis bibliograficzny dzieł hr. Engestroema zawiera przeszło 40 numerów. Większa część tychże o znaczeniu sprawozdawczem i informacyjnem, np. wydaną była swego czasu w stolicy Saksonii pod tytułem: „Notatki drezdeńskie,“ albo „Sprawozdanie z



† Wawrz. hr. Benzelstierna-Engeström.

obchodu jubileuszowego 400 rocznicy założenia wszechnicy upsalskiej“ 1877 r. Dalej „Pamiątka obchodu uroczystości imienia J. I. Kraszewskiego“ 1879 r., „Uroczysty wjazd i przyjęcie prof. Nordenskiölda w Sztokholmie“ 1820 roku i t. d.

Oprócz tych wymienić wypada jego poezye przygodne jak „Kantata na stuletnią rocznicę śmierci św. Metodego, apostoła Słowian“ 1885, „Ku uczczeniu 35-letniej rocznicy zgonu Adama Mickiewicza“ 1887 r., „Soli Deo gloria — na obchód 35 letniej rocznicy zgonu Ad. Mickiewicza“ 1890 r., „Witaj nam, witaj hospodynie drogi“ hymn na wprowadzenie arcybiskupa Floryana Stablewskiego, 1892 r.

Ten poeta, uczony i literat, umiał jak nikt rozbudzać zapał do spraw miłosierdzia, krzątał się jak młody ku dobru swego dzieła szlachetnego, Kolonij wakacyjnych Stelli. Ciężką zaprawdę będzie dla tego dzieła strata takiego zawsze czynnego, zawsze gotowego do usług protektora, bolesnym brak tego zawsze gorącego serca, tak serdecznie, tak poczciwie umiejętnego przemawiać za swojemi ukochanemi koloniami.

Nieraz ciężkie na zakład w Kobylnicy przychodziły chwile. Budowano, urządzano — a nie było grosza. Wtedy zwracano się do nieboszczyka, a on z głęboką wiarą mawiał: „Stary Pan Bóg żyje!“ i po tych słowach składał nieraz po kilka tysięcy marek, wyżebranych, wyproszonych, wymodlonych u znajomych, krewnych i przyjaciół.

Silna wiara w pożyteczność idei rozpraszała wszystkie wątpliwości. Prawdziwy to był „Sodalis Marjanus,“ sługa Maryi.

Zeszedł do grobu jak zwycięsca, bo zwyciężył wszystkie trudności, zostawił po sobie dzieło wywalczone poświęceniem, siłą ducha i zaparciem się siebie.

Jego zatem przeważnie pracą stanęły stałe kolonie wakacyjne od roku 1900, umieszczane w Kobylnicy, jego zasługa, że w czyn się zamieniła myśl ś. p. dr. Drobnika, założenia stałej Stacyi Sanitarnej, on umiał uzyskać fundusz od hr. Skórzewskiego na wysyłkę dziatwy do solanek, a najzupełniej jego inicyatywie i staraniom zawdzięczamy, że stanęła na gruncie kolonii kaplica.

Nigdy się nie chełpił, bo wszystko uważał za swój obowiązek — a zawsze oddawał to, co się należało tym, którzy go popierali w jego dążeniach.

Często żałoba pogrążała dom jego w smutku i boleści, cios rodzinny jeden po drugim dotykał starca stojącego już nad grobem. Ostatnim krzyżem była śmierć ukochanej małżonki Jadwigi z Bożewskich. A do tych krzyżów przyłączały się niedomagania fizyczne, choroby bolesne, które go nawiedzały.

Pomimo to zacny ten pracownik i wierny syn Kościoła zachował zawsze do końca pogodę umysłu, poddanie się woli Bożej i szczerą serdeczną miłość do ideałów swej młodości i swego wieku dojrzałego. W tej pogodnej duszy jaśniało zawsze światło serdecznego ukochania wszystkiego, co polskie i czynnego współczucia dla wielkiej biedy ludzkiej.

Więc dziś, gdy ten poczciwy żywot zakończony, towarzyszy mu serdeczny żal ziomków i łzy tych maluczkich, które on tak gorąco, tak pięknie umiał kochać.

* * *

Obchód żałobny odbył się w Poznaniu w kościele św. Marcina w ubiegłą środę. Po wigiliach i mszy żałobnej, w czasie której śpiewał chór teatralny z solistami pp. Haykiem i Szelerem, wygłosił mowę ks. Swinarski, administrator przy św. Marcinie. Następnie ruszył orszak, na czele którego postępowały bractwa różańcowe i deputacya „Gwiazdy,“ dzieci ze Stacyi Sanitarnej z wieńcem od Wydziału Stacyi Sanitarnej i Zarząd „Stelli“ również z wieńcem. Kondukt prowadził Najprzew. ks. biskup dr. Likowski w asyście kilkudziesięciu księży. Za trumną postępowała rodzina i liczne grono przyjaciół Nieboszczyka. Zwłoki ś. p. Engestroema złożono w Ceradzu w grobowcu familijnym.



Z TEATRU.

„Bogata wdowa“. — „Lalka.“

Somerseta „Bogata wdowa“ zgoła niepodobna jest do pikantnych komedyj francuskich. Jestto rzecz typowo angielska: zdrowa, moralna, poczciwa. Każda pensyonarka może się nią raczyć bez szkody. Żałować tylko należy, że artystyczna strona sztuki nie dorównuje etycznej. Dość ubogiej akcyi bowiem nie krasi ani dowcip ani dyalog pierwszej próby, a nawet pierwiastek komiczny bardzo skąpo jest obmierzony. Wobec tego na pierwszy plan wysuwa się gra aktorów i jej głównie zawdzięcza sztuka powodzenie.

Pod tym względem miał Somerset u nas szczęście. W p. Bednarzewskiej znalazł bowiem niezrównaną reprezentantkę bohaterki, wytwornej damy salonowej starającej się powabem kokieteryi i przemysłem nieszkodliwej zresztą intrygi kobiecej usidlić serce bodaj zbyt pedantycznego Geralda. Geralda grał ze znacznem powodzeniem p. Kęcki, jednakże nie zdołał stworzyć typu Anglika. Daleko szczęśliwszym w tej mierze był p. Borowski, za to znów w scenach pseudomiłosnych przeholował tak dalece w umyślnie sztucznym patosie, że trudno było zrozumieć, jak mistress Worthley nawet na sekundę mogła mieć wątpliwości co do istotnych uczuć swego partnera. Swoją drogą komiczny patos oświadczającego się namiętnie a nieczułego na wdzięki kobiece Blankinsopa, wywoływał salwy wesołości w audytoryum. Mimo to był nie na miejscu. Bardzo ładnie wywiązał się z zadania p. Kawecki jako naiwny, zakochany młodzieniec. Można by to samo powiedzieć o jego partnerce p. Wiśniarowskiej, gdyby młoda artystka była nieco swobodniejsza i nieco mniej — powiedzmy — nieruchoma. Dla pań Królikowskiej i Sieniawskiej mamy słowa najzupełniejszego uznania. Reżyserya i inscenizacya bardzo były staranne. Kostyumy pań, szczególnie wspaniałe tualety p. Bednarzewskiej rzetelny budziły podziw. Niestety — jak zwykle na premierach — zespół, tudzież dyalog tu i owdzie pozostawiał do życzenia.

* * *

„Lalka“ Edmunda Audrana, której premierę mieliśmy w poniedziałek, należy bezsprzecznie do najzabawniejszych i pod względem muzycznym do najlepszych operetek francuskiej proweniencyi. Znachodzimy w niej szereg lekkich, subtelnych, miło w ucho wpadających melodyj oraz bardzo dobre partye choralne, wykonane przez chóry nasze wprost znakomicie. Odnosi się to przedewszystkim do chóru męskiego rozporządzającego bardzo dobrym basem.

Tytułową rolę objęła p. Celińska i wywiązała się z zadania bardzo ładnie. Pan Miłosza (Lancelot) głosowo źle był dysponowany, lecz brak ten dobrą wynagrodził grą. Poprawnym był p. Fotygo jako przeor. Bardzo dobre kreacye dali pp. Lelewicz i Justian jako Loremois i Chanterelle, tudzież p. Lenartowiczowa. Pomniejsze role u pp. Palczewskiej, Zielińskiej w odpowiednich były rękach. Zupełnie w swoim żywiole był niezrównany nasz komik operetkowy p. Kosiński. Wywoływał w audytoryum ustawiczne salwy wesołości. Bardzo ładnie przedstawiała się niezwykle obfita część baletowa operetki. Prym trzymali oczywiście jak zwykle pp. Faliszewscy. Poza tem na życzliwą wzmiankę zasłużyła bardzo zabawna produkcya taneczna pp. Zakrzewskiej, Langiego i Cichockiego tudzież taniec „mama-papa“ panny Pugaczówny.

Operetka znakomicie była wyreżyserowana, dyrygent zaś p. Lehrer całość muzyczną w należyte ujął karby, dzięki czemu przedstawienie „Lalki“ wypadło pod każdym względem dobrze. Spodziewać się należy, że publiczność będzie się umiała wywdzięczyć dyskrecyi i artystom za tyle starań i pracy tak pięknym uwieńczonych sukcesem. *R.*

Libretto „Lalki“ wyszło w druku nakładem księgarni p. M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

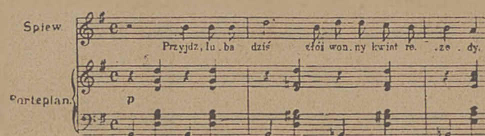
„PRACA“ powinna znajdować się w każdym domu szczerze polskim.



W DZIEN ZADUSZNY

PIOTR STACHIEWICZ

Przyjdz. luba, dzis złóż wonny kwiat rezedy
Z jesiennych astrów znów mi wieniec daj
I pozwól, bym tak kochał cię, jak wtedy.
Gdy był ten maj. ten cudny maj!...
Niech twoją dłoń do piersi mej przytulę.
Miłości niech stracony ujrzę raj!



Melodya Lassena

Niech oczy twe popatrzą na mnie czule
Niech wróci maj, ten cudny maj!...
Wszak światło dziś na każdej lśni mogile
Radości dzień zawitał w cieniów kraj.
Wiec do mnie pójdź, niech wrócą szczęścia chwile
Niech wróci maj, ten cudny maj!..

Wł. Słaski

ALBUM „PRACY“.

DRUKIEM „PRACY“.



W noc zaduszną.

OR-OT.

GROBOM-SIEROTOM.

Grobom, na których nikt nie klęka,
Grobom, na które łzy nie lecą,
Nie rzuci kwiatu żadna ręka
I lampki zmrokiem nie zaświecą, —
Tym grobom, skrytym w nocne cienie,
Braterskie składam pozdrowienie.

Jakże okropna ich niedola
W tym uroczystym dniu pamięci,
Gdy na cmentarne idzie pola
Tłum, co umarłych łzami święci
I stwierdza łączność swą z mogiłą
Niezgaszonego żalu siłą.

Samotne groby! Gdzież jesteście?
Próżno was szuka tęskne oko!
W rozkołysanych drzew szeleście
Głos się unosi w strop wysoko,
Jakby zbiorowa skarga prochów
Z bezkrzyżnych mogił, z krwawych lochów.

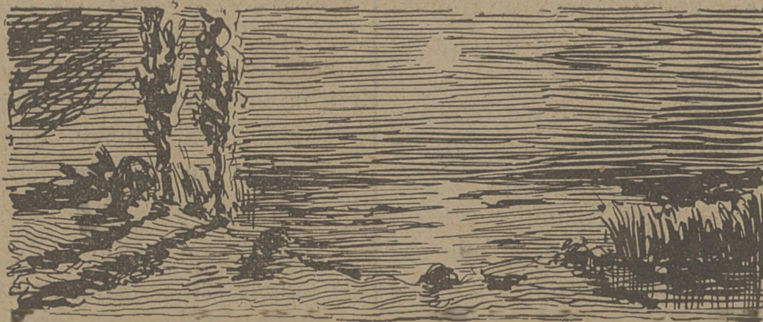
Cmentarz ma z życiem podobieństwo,
Są groby szczęsne, są tułacze
I mają one swe męczeństwo
W tem, że nad niemi nikt nie płacze,
A trup tak czeka i wygląda,
Pożąda żalu, łez pożąda.

Rwąc się do słońca tak szalenie,
Zaliż on myślał za żywota,
Że jego losem — zapomnienie
I że z nim pójdzie w grób — tęsknota
I tej goryczy żrąca fala,
Co próchniejącą kość przepala?

Na kwietnych grobach lampki płoną,
Nieśmiertelników leżą wieńce,
I smętną chylą się koroną
Głowy niewieście i dziecięce,
Szept modlitewny mknie dokoła
Za duszę drogą, za anioła!

A tam — noc czarna i milczenie,
Głucha posępność pustki mroźnej,
Tylko się snują szare cienie,
I ciszę szczęk przerywa groźny;
Ciężko, leniwo mgły się wloką...
Ludzie daleko... Bóg wysoko...

Groby-sieroty! niech westchnienie
Z cichym pacierzem do was płynie,
Niech da umarłym przeświadczenie,
Że, choć grób zginie — duch nie zginie
I że te groby w poniewierce
Ma zapisane — nasze serce...





Zdzisław Dębicki.

Przez śmierć do życia.

Legenda buddyjska mówi, że, kiedy umierał prorok Sakya-Muni, zakwitło nagle drzewo sala, rozszedł się dokoła zapach słodki, upajający, a białe kwiaty pękami zaczęły spadać na twarz i na piersi umierającego.

Legenda buddyjska owiewa tchnieniem poezyi chwilę, w której dusza opuszcza ciało, a wielka tajemnica rozszczepienia dwóch pierwiastków, stanowiących jedno, dokonywa się z rozkazu Natury, poza obrębem świadomości ludzkiej.

Życie gaśnie, śmierć przychodzi cicha, oczy zamykają się na sen wieczny, nieprzebudzony. Czarna, nieprzenikniona kotara zasuwa się i oddziela żywych od umarłych.

Od czasów najdawniejszych, od czasów, kiedy dusza ludzka wydała z siebie pierwszy kwiat uczucia, a intellekt, zbudzony z bezwładu, piąć się począł ku słonecznym dziedzinom poznania, wzrok ludzki usiłował przebić ową zasłonę, której ciężki mrok odbierał mu widzenie rzeczy dalszych.

Pomiędzy pierwszym kiełkiem wiary w życie pozagrobowe, w istnienie ducha, wolnego od więzów materyi, a boską nauką Chrystusa o nieśmiertelności duszy leży ogromny go-

ściniec dociekań, po którym kroczyły umysły całego świata pogańskiego, siląc się rozwikłać zagadkę. Życie protestowało przeciw śmierci, kres przestawał być kresem. Otwierała się coraz jaśniejsza, coraz większego blasku pełna perspektywa. Dusza ludzka, przeszedłszy przez smętną melancholię pól Asfodelowych, trafiała na kwietne błonia Elizejskie. Stamtąd szła pod grzmotem trąb archanielskich ku dolinie Jozafata, a przebiwszy się w łańcuchu wieków przez mrok pojęć średniowiecznych, stanęła w czasach współczesnych wobec filozoficznej kategoryi nieśmiertelności.

„Nie wiem,“ odpowiada na zasadnicze, postawione jej pytania nauka dzisiejsza. Nie jest to jednak negacya bezwzględna, nie jest mur graniczny nie do przebycia. Umysł nie wraca się od tego punktu, nie rozbija się w rozpaczy, nie tłucze swojej lampy alabastrowej, w której doniósł aż dotąd oliwny płomień, rozświetlający jego drogi doczesne, ale rezygnuje cicho i odstępuje duszy krainę, leżącą poza sferą poznawalnego.

A dusza ludzka ma skrzydła, jak miała je od początku.

Człowiek pierwotny, który leżał gdzieś na siwych, miękkich mchach i słuchał poszumu borów odwiecznych i kłaniał się słońcu w jasne chwile południa i pił chłód nocy, roziskrzonej gwiazdami, szukając Boga w przestworach, i człowiek dzisiejszy, kiedy oderwie wzrok od życia i, głusząc w sobie gwar i zamęt walki, skupi się i spojrzy w głąb siebie, jednacy są tam, gdzie zaczyna się lot w regiony zaziemskie. Skrzydła duszy są chybkie i niosą daleko. Granice czasu i przestrzeni rozpryskują się pod ich uderzeniami. Wieczność otwiera im swoje państwo bez kresu.

Cóż stąd, że tam, na ziemi, przesypują się leniwie i wolno złote ziarnka piasku w klepsydrach, odmierzających skąpo czas życiu ludzkiemu? Cóż stąd, że ciężkie dzwony śpiżowe kołyszą się wśród osnutych pajęczynami belek wież kościelnych i śpiewają żałobne „requiem“ człowiekowi, który odchodzi ze świata?

Ani szmer piasku w klepsydrach ani pojęk dzwonów, rozkołysanych na żałobę, nie mącą ciszy, królującej w przestrzeniach, nabitych migocącemi gwiazdami światów, których ogrom jest tylko źdźbłem marnem i nikłem.

Dech tajemnicy, który zna początek i kres, wypełnia przestwory. Ku tej tajemnicy wzbija się uskrzydlona dusza ludzka i nabiera świadomości, że jest cząstką niej samej, że oto macierz, z której wyszła, i macierz, do której powróci.



Na opuszczonym cmentarzu.

Życie doczesne wydaje się jej wówczas czemś znikomem, czemś, co samo w sobie nie ma treści zasadniczej, ale jest tylko przejściem przez byt materyalny do bytu niemateryalnego, drogą do przemiany formy niższej na formę wyższą istnienia.

I ta jest chwila, w której rodzi się w każdej duszy idea nieśmiertelności.

Przez śmierć do życia, oto są ogromne słowa, które i życiu nadają wartość, jako czemuś, co ma cel przed sobą, i śmierci zdejmują z ramion jej czarny całun.

Człowiek nie chce umrzeć wszystek, nie rezygnuje z wiary w byt zaziemski, a poczucie potrzeby istnienia dalszego jest w nim tak wielkie i tak silne, że skłania go do myśli o utrwaleniu swego niemateryalnego bytu nawet na ziemi.

Cokolwiekby mówiono, wielki artysta, który tworzy wielkie dzieło, nie może być wolny od dobrej nadziei, ze część duszy jego, zaklęta w utwór sztuki, będzie mówiła o nim przyszłym, dalekim pokoleniom; nie może nie pragnąć, aby obcowanie jego z tymi, co przyjdą dopiero, osiągnęło stopień zupełnego odczucia i zrozumienia.

Non omnis moriar brzmi słodką gędźbą w duszy każdego twórcy i jest mu niewątpliwie bodźcem do pracy.

Ale nie tylko artysta pragnie nieśmiertelności ziemskiej. Pragnie jej tak samo każdy mąż stanu, każdy wielki polityk, który swoim dobrym czy złym geniuszem odwraca karty dziejów, jak i każdy ubogi wyrobnik, który pamięć o sobie chce przekazać dzieciom i wnukom.

Dzieci — oto dyamentowe ogniwo, które spina człowieka dzisiejszego z człowiekiem jutra. Najgorszy, najostatniejszy człowiek rozumie, że ci, których spłodził, są z niego, są nim samym, w innej, dalszej formie rozwojowej. W dzieciach odnajdujemy siebie, widzimy dalsze swoje istnienie. Dzieciom też staramy się przekazać to, co jest w nas najlepszego, więc najczystsze i najszlachetniejsze uczucia, najgorętsze ukochania, najgórniejsze porywy. To, co w głębokiem naszem przekonaniu zasługuje na dalsze istnienie, co ma w sobie moc trwania, oddajemy im z siebie, z myślą, że to „nasze“ będzie w „nich“ żyło i z pokolenia przejdzie w pokolenie. Swoich wad, swoich nałogów, swoich myśli zbrodniczych, swoich pełzań poziomych — żaden, najgorszy ojciec nie zaszczepi świadomie dziecku, bo chce w niem żyć lepszą częścią swojej istoty.

Ma więc i nieśmiertelność ziemska swój urok, swoją moc nad nami, swoje trwanie.

Duchy wielkich ludzi są wśród nas, a imiona ich zawsze powtarzamy ze zbożną czcią. Filozofowie świata starożytnego, mimo, że prochy ich stlały dawno, a wiatr rozwiał je po polach pustych, obcują z nami. Platon i Arystoteles dzisiejszemu człowiekowi wykształconemu są tak samo blizcy, jak byli blizcy dla współczesnych dusz wybranych. Poeta wieku XX. żyje w obcowaniu duchowem z Homerem, rzeźbiarz szuka natchnienia nawet w ułamkach dzieł Praksytelesa. Bohaterowie ludzkości, męczennicy idei i męczennicy wolnej myśli, są z nami i będą w duszach naszych następców.

Słyszymy jeszcze brzęk kielicha, który upadł z martwej ręki Sokratesa i potoczył się skroś wieki, aż do naszych stóp. Widzimy jeszcze pochodnie płonące Nerona tak żywo, jak żywo mamy w pamięci tych, co ginęli na szubienicach za wolność ludów w czasach najnowszych.

Cała ludzkość i każdy naród ma swoich nieśmiertelnych, ma tych, co przez śmierć osiągnęli życie.

Pozorem było ich zejście ze świata. Czy kula ich przeszyła na polu walki, czy ślepa ręka przemocy założyła im stryk konopny na szyję, czy spokojnem, żółtem światłem swojem żegnały ich gromnice woskowe, ustawione u głów łoża — śmierć ich nie była śmiercią. Skończyło się tylko materyalne ich istnienie, a kiedy rozwiał się dym kadzielnic pogrzebowych i skonały smętne pieśni wśród drzew cmentarza, rozpoczęło się dla nich życie nowe w zbiorowej duszy ludzkości i w zbiorowej duszy narodów, które obdzieliły się chlebem ich Ducha.

* * *

Widziałem przed kilkunastu laty na cmentarzu w jesienny, smutny dzień samotną, bezimienną, zrównaną z zie-



Na grobie żony w Dzień Zaduszny.

mią mogiłę. Listopadowe słońce patrzało na nią przymgloną swoją źrenicą, a złote liście sypały się cicho z drzew, rosnących obok.

Wtem do mogiły tej podeszło kilku młodych ludzi i rzuciło na nią pęk krwawych róż.

Obejrzeli się trwożnie... Nie było nikogo. Szumiały tylko drzewa, a wiatr dzwonił o żelazne, pordzewiałe tablice na krzyżach.

— Odeszli.

Na bezimiennej mogile krwawiły się tymczasem róże, rzucając swój pons na brudną zieleń przydeptanej trawy.

Patrzałem na ten widomy znak pamięci ludzkiej, i w mojej duszy rozwiązywała się zagadka.

Cokolwiekbądź jednak, pojąłem, że świadomości mojej narzuciło się przeświadczenie, że śmierć nie położyła kresu temu życiu, które tam spoczęło, że coś z niego zostało na świecie i ma w sobie moc trwania. Czy młodość bujna i pełna porywów, czy bohaterstwo, zdławione przed czasem, czy tylko cierpienie, ciche i bez skargi? Nie wiedziałem.

Cokolwiek bądź jednak, pojąłem, że „to“ jest silniejsze nad śmierć, bo przez nią prowadzi do życia...



Artur Oppmann.

Nasze groby.

W dniu zadusznym, gdy smętna jesień ulewą liści pożółkłych zasypuje groby, gdy każde serce ludzkie opłakuje kogoś z blizkich a ukochanych, gdy oczy tak tęsknie rwą się w dal, upatrując drogich, zniknych już postaci, w tym dniu zadusznym królestwo zmarłych większą moc ma i władzę od królestwa żywych.

Mogilny świat, mgłą zapomnienia owiany, cichy, milczący, od ludzkich zabiegów i walk daleki, budzi się z martwych, w kręgi bytu ziemskiego wkracza, łączy się z tymi, którzy cierpią jeszcze, i żyje na dzień ów życiem dawnem, przypominając pątnikom doliny łez to, co było, i ukazując im ostatni kres wszystkich szamotań się, wysiłków, prac, porywów: grób!

A tych grobów polskich tak wiele, tak wiele na całym świecie Bożym. Rozrzuciły je szumne wichry po dalekich obczyznach, po krajach, gdzie pomarańcze i cytryny kwitną, po stepach, śniegiem usłanych, po grodach ludnych i pustkowiach samotnych.

Stoją nad niemi pomniki z marmuru, złomy granitu, krzyże, pleśnią pokryte, kamienie omszone, a są i takie, nad któremi tylko drzewo gałęźmi szeleści, są zaklęsłe w ziemię, są z ziemią zrównane. Jakie tam serca gorące biły w tej garści prochu, ile poświęceń miały w sobie, jak uderzały krzepko, żądzą czynu i czynu spełnieniem dumne i górne. Dziś kość zetlała w grobie się rozpada, a czyny zgasły bezpotomnie.

Nie bezpotomnie, bo wszystko, co kierowane było podniosłością ducha, co zdziałano dla piękna i dobra, jako ziarno, rzucone w glebę, nie ginie! Choć nie wzeszło rychło — wzejdzie później, a gdy już kłosem strzeli, nikomu na myśl nie przyjdzie może, jaka to ręka ziarno owe na plon przyszły posiała.

Grób ma w sobie mądrość życia. On uczy, jakiemi drogami szli ci, którzy nas poprzedzili, jak brnęli przez nędzę świata, jak umieli zwycięsko zwalczać podłość i nikczemność natury ludzkiej. Grób ma w sobie lek najmocniejszy na utrapienia i niepokoje człowiecze: on mówi o odpoczynku wiecznym, o śnie cichym dobrze zasłużonych.

Są groby, które cieszą prawie. To groby tych, którzy po życiu długiem a owocnem położyli się do trumny, mówiąc: „Otom znużony i spać pragnę; jako oracz, byłem, i jako robotnik Boży, kończy się mój dzień. Legnę“.

A są i takie groby, które szarpią serce kleszczami żałości i zalewają goryczy falą. To groby przedwcześnie rzuconych na łoże śmierci bezlitośną dłonią losu — i ludzi.

Nad psem zabitym stanie człowiek i zapłacze, zranionego ptaka przyhołubi i lituje się jego boleści, ale obok brata, co padł, zdeptany w szalonej orgii rozbestwienia ludzkiego, przejdzie obojętnie. Tylko najbliżsi o mur tłuką głową i, załamując ręce, ciskają się na trupa z krzykiem, co krew mrozi w żyłach.

Bo pomyślcie: jedno drgnienie cyngla, jeden błysk noża, jeden rozkaz

krótki, i to, co było światłem waszych oczu, sercem waszego serca, ukochaniem, chlubą, nadzieją, to wszystko staje się w momencie martwizną, rzeczą nieruchomą, kształt ludzki mającą.

Okropną jest tragedya życia! Stokroć okropniejszą od tragedyi śmierci! I, jeśli królestwo Chrystusowe nie zejdzie na ziemię, jeśli nienawiść nie wygaśnie do cna, jeśli Kain nie umrze w duszy człowieczej, by nie powstać już nigdy, to, zaiste, lepiej, aby ów świat, tak pełny łez, krwi i błota, aby świat ów przestał istnieć na zawsze.



Ignacya Piątkowska.

Z pojęć ludu o Dniu Zadusznym.

(Notatka etnograficzna).

W noc czarów, w noc dziwów, w posępną noc listopadową, poświęconą pamięci zmarłych, dzieją się cuda na ziemi i niebie. Wtedy to boginki leśne zawodzą tan radosny, gdyż jest to także ich święto.

Największą dla nich radością jest pochwycenie w swe ręce gwiazd spadających, a w dniu tym bardzo obficie spływają one na ziemię, gdyż są to dusze zmarłych, co nie odbyły jeszcze pokuty. Którą jednak gwiazdkę boginka uchwyci, tej los nie do pozazdroszczenia, gdyż musi przez rok cały jako duch leśny błąkać się bezcelowo po ziemi.

Kiedy w dniu umarłych gwiazda jedna po drugiej ukazują się na niebie, jest to walka aniołów z szatanem, i gdy szatan zwycięży, gwiazdy na dół w ręce boginek spadają, a gdy anioł tryumf odnosi, chwyta on gwiazdy własną dłonią w locie i kryje w niebieskich obłokach, aby tam świecąc Panu nad Pany oczekiwały swego wybawienia.

Na drogach w noc umarłych, wśród moczarów ponad cmentarzami, unoszą się białe dymy i smugi świetlane; są to dusze, w postaci gwiazd uchwycone przez leśne boginki. Czasem wydają te błędne ogniki żałosne jęki; to słowa niezrozumiałe, któremi dusza pokutująca spowiada się z czynu popełnionego za życia. Gdyby ktoś z dźwięków tych wydobył znaczenie wyrazów, i spełnił życzenie błądzącej duszy, zostałaby ona zbawioną. Ale ukazanie się takiej duszyczki wzbudza strach w człowieku, więc żadna z błądzących nic otrzymuje wybawienia. W noc Wszystkich Świętych Matka Boża siada na chmurach i pomaga aniołom do chwytania gwiazd, mknących ku ziemi, aby nie wpadły w ręce potępieńców.

Dusze jednak mają tyle w dniu tym pokus szatańskich, iż same rwą się ku ziemi, gdzie nęci je cudny taniec boginek, uroczy ich śpiew, pociągający przedziwną jakąś siłą.

Wodnice w dzień Zaduszny ciągną gwiazdy z chmur do głębin wodnych srebrnemi promieniami księżyca. Którą gwiazdę uchwycą w locie, ta musi zamieszkać w ich podwodnych krainach, i potem w noce jasne księżycowe wabić zdradliwie przechodniów i topić w nurtach swej krainy.

Mogiły w dzień umarłych otwierają się o północy. Anioł biały zstępuje cicho i zwołuje senne duszyczki do życia. Od cmentarnych wrót suną najpierw białe postacie — to dusze tych, co dostąpiły zbawienia; — dalej idą widma szare — dusze pokutujące, co męki czyścowej nie odbyły jeszcze. Wszystko dąży do ukochanych, bo z uderzeniem północy muszą już być w mogile. — Anioł biały rachuje duszyczki, a gdyby się której nie doliczył, jużby jej nie wypuścił na rok przyszły, aby odwiedziła ukochanych.

Na niebie ciągną białe chmurki, zwane barankami; to wojsko poległe z lat dawnych. Ono także z chmur zstępuje i na świat spogląda. Rycerze nie mają już jednak znajomych, zdala tylko przypatrują się ludziom i wracają do swoich siedzib w obłoki.

Na bezdrożach, spowite mgłą, suną także postacie dusz błądzących. Każda matka odwiedza swą żyjącą dziecinę. Nieraz w kolebce zakwili niemowlę — sierota, nagle rozjaśni twarzyczkę uśmiechem radości, — znak to, iż ujrzało zmarłą matkę.

W niektórych stronach lud wierzy, iż dusze zmarłych muszą być na Mszy w parafialnym kościele. Tu duch księdza odprawia nabożeństwo, światła płoną, organy grają, tłum zmarłych modli się w skupieniu, stroje różnych epok mienią się z współczesnemi; ujrzeć też można postaci pra-pra-dziadów, których portrety zawieszone w świątyni, obok prawnuków niedawno jeszcze żyjących na świecie.

Matka Boża w dzień Umarłych zsyła różne łaski na ziemię. Przez jesień całą snuje Ona przędziwo pajęcze i z tego na dzień Zaduszny robi koszulinki dla zmarłej dziatwy, i rozdaje dobrotliwie te szaty, a przez to wyprasza łaskę dla nich u Syna Swego.

W dzień Zaduszny schodzi też Matka Boża do Czyśca ze swoim orszakiem aniołów, i przegląda na tablicy czas oznaczonej kary. — Tym, co wiele lat pokuty naznaczono, zmazuje kreski do połowy, a tych co niewiele mają już kary, uwalnia zupełnie i zabiera z sobą do raju.

Takie to wierzenia lud nasz przechowuje w swej odwiecznej skarbnicy legend i podań, i opowiada je w Dzień Zaduszny.



H. Wińcza.

„Dziady" na Litwie.

Piękny a rzewny obchód „dziadów," tak poetycznie opisany przez naszego wieszcza — jeszcze bywa obchodzony w zakątkach Litwy.*) Ulega on już silnie wpływom kościelnym, ale zachował jeszcze sporo pierwiastków tradycyjnych. Odbywa się około Zaduszek, bo w sobotę (czasem, ze względu na post, w niedzielę) w trzecim tygodniu po Różańcowej, więc 22—27-go października.

Jesień późna. Minęły już nadzieje i trwogi wiosenne, ucichły pracowite gwary lata; nie rozlegają się już śpiewy koło rosnącego żyta, umilkły żniwa, tłoki; nie brzęczą kosy po łąkach kwiecistych... i derkacz porzucił łąki i pola... Żegnaj lato! żegnaj słońce letnie! żegnaj!...

I ściele się żółty kobierzec liści na ziemi, nasiąkając powietrze wonią jesienną... Czasem poskoczy wiewiórka po gałęzi, czasem zaszeleści w paprociach lis lub borsuk, śpieszący na leże zimowe — do ziemi. I cisza, spokój wielki.

Człowiek po trudach odpoczywa: w gumnach i puniach pełno, bydło syte, obfitość największa w roku. Wartoby, zebrawszy się z całą rodziną, ucztując i używając hojnie plonów, a dziękując ich Dawcy, pożegnać piękne lato i słonko letnie, pracowite, które wespół z matką ziemicą wyhodowało i kwiaty, i zboża, i jarzyny, i owoc, zapewniając ludziom byt w ciągu surowej zimy.

*) Aby unaocznić Szan. Czytelnikom ten obrządek tak pięknie opisany przez Mickiewicza, zamieszczamy reprodukcyę odnośnego obrazu Tadeusza Jaroszyńskiego. Oto treść ryciny: Wśród ciemnej listopadowej nocy zebrali się w opuszczonej i zrujnowanej kaplicy wieśniacy i wieśniaczki. Starszy z pomiędzy nich, zwany guślarzem, ustawiwszy jadło i napój, zapala garść kądzieli i wzywa duchy, aby się ukazywały zebranym. Na wezwanie to ukazują się różne duchy czyli widma. — Przyp. Redakcyi.

A kiedy zbierają się żywi na to doroczne święto jesienne, wspomnienie leci ku zmarłym drogim krewnym, ojcom i praojcom, którzy na tejże kochanej ziemi żyli przed nami.

Idą więc ludzie na mogiłki, poprawiają zapadłe, okładają świeże *) darnią, kamieniami, albo wreszcie beleczkami lub deskami (ongi zapewne dla zabezpieczenia zwłok od zwierząt); stawiają krzyże większe, a na pamiątkę w ostatnim czasie pochowanego robi się, podług zwyczaju odwiecznego, deska gruba, łupana z kłody i ociosana, wyrzyna na niej niby ślad stopy zmarłego (mały lub wielki), który poszedł w świat „tamten,“ i kładzie gdzieś przez strumyk lub rów ku wygodzie ludzkiej; a każdy przechodzący, widząc ślad wyrznięty, westchnie za duszę zmarłego.

Robota skończona. Przychodzą i kobiety na mogiły — zbiera się rodzina; pomodliwszy się, zasiadają przy mogiłkach do obiadu; nalewa się trunek; ale jak tu pić zacząć? Zachowując więc kolej starszeństwa, najpierw wylewa się na mogiłkę: To wam! dziady! pradziady! — potem dopiero pije się wkoło, nareszcie je: milta (mąka z owsa parzonego z wodą), kiełbasy, mięsiwo; co spadnie, tego się nie podnosi, bo to już dla zmarłych.

Jeżeli umarł ostatni mężczyzna, to przynosi się w kaszy (jęczmiennej) warzonego koguta, jeżeli kobieta — kurkę; zjadłszy, trzeba coś przecie i dla zmarłych zostawić jeszcze: przy mogiłkach zostają więc, u głowy, najczęściej garnuszki gliniane z jadłem „dla nich.“

Powróciwszy do domu, trzeba wypalić w łaźni i umyć się, ale i tu najpierw niech wejdzie najstarszy, głowa rodziny, i stawiając wodę na półkach, a kładąc „wiennik,“ poprosi praojców myć się („Dziady! pradziady! myć się przychodźcie, jeden drugiego za rękę przywódźcie!“) — poczem dopiero idą żywi mężczyźni, potem kobiety.

Po łaźni — wieczerza doroczna, najważniejsza, na którą przecie przodków zaprosić i chce cię, i wypada. Już o zmroku nikt żywy nie wychodzi na ulicę wsi. W chatach z grzęd, rozchodzących się pod stolowaniem od słupa, podpierającego róg pieca, a służących do rozwieszania i suszenia odzienia — zdejmuje się wszystko, by nic nie wisiało, nie zawadzało; psa wypędzić na dziedziniec; trzeba odemknąć „wierzch,“ czyli dymnik nade drzwiami, aby ułatwić przodkom wejście, a jeżeli chata z kominem, nie kurna, to

*) Odtąd kończy się żałoba po zmarłych w ciągu roku.



Rys. Tadeusz Jaroszyński. „Dziady.“

uchylić nieco drzwi do sieni. Stół nakrywa gospodyni obrusem i ustawia na nim 7 potraw; między niemi konieczna jest głowa (z polewką warzona i wyjęta) świńska; wreszcie kluski, kasza, mięsa dóżne, jajecznica.

Na rogu stołu od kąta znajduje się kwas chlebowy w kubku, na innych trzy bochenki (dwa żytnie, trzeci pszenny) osobne, których się nie je, a nazajutrz ubogim oddaje. Zgromadzili się już wszyscy żywi członkowie rodziny, klękają, prócz łuczywa zapala się świecę woskową, i nim przystąpią do uczty obfitej, mówią „Anioł Pański“ za zmarłych, poczem najstarszy, trzymający świecę, naprzód ją koło swej głowy obnosi, potem trzykroć okrąża nią w kierunku biegu słońca głowę świńską, nareszcie stawia na stole palącą się.

Sam zaś gdy wszyscy otoczą stół uroczyście, wymówiwszy formułę pewną, słowa,dziś nikomu nie zrozumiałe, (których nie wolno wszystkich napróżno wymawiać), zaprasza praszczurów: „Dziady, pradziady! babki, prababki! proszę do nas na dziady! i sami przychodźcie, i dziatek małych przywodźcie!“**) A nalawszy trunku, najpierw wylewa się na róg kątowy stołu (ten, przy którym nikt nie siada), jako najpocześniejszy: „To dla was, dziady!“ Dopiero znowu nalewa i pije sam, siada, i wszyscy piją koleją. Wziąwszy pierwszy kawałek potrawy (od głowy poczynając), kładzie na ten róg stołu, a potem dopiero sobie i innym kraje.

Wszyscy nie oglądają się za siebie

**) Zależnie od miejsca, słowa zaprosin trochę się zmieniają, ale myśl ta sama, np.: „Dziady, pradziady, przychodźcie k'nam! i sami przychodźcie, i dzieci przywodźcie!“

i zachowują ciszę przystojną, boć dusze wszystkich przodków są obecne, patrzą na swoich prawnuków. Gdy kwas w kubku drgnie — ktoś go pije widocznie. Każdy czuje za sobą dusze. Wielką tu pociechę i przyjemność uczuwają ci, którym ktoś drogi świeżo umarł: jest on tuż, patrzy i widzi nas, a my go czujemy.

Pietrula jeszcze w roku zeszłym siedziała tu z nami! Staniul już od kilku lat na „tamtym świecie“, inni jeszcze dawniej, a przecież co rok obcują tu z nami, widzą nas... I ich możnaby widzieć: dość za słupem przy piecu na „pole“ umieścić się i patrzeć przez chomąt oromy, kleszczami go na chatę trzymając.***) Przyszli wszyscy, odziani (bez względu w czem pochowani) biało, w lnianych narodowych żupanach (szuszpanach), od ostatniego aż do prastarych, od setek lat zmarłych, w rysich czapach, z kamiennemi toporkami chowanych! Ale żywy z trudnością zniesie widok ich, z tamtego świata: odrazu umrzeć może; dość więc wiedzieć, że wszyscy drodzy są obecni.

Niektóre kobiety przemawiają np. do męża niedawno zmarłego, żałośliwie; inni pocieszają: „Jemu tam lepiej, a póki żyjem, będzie choć co rok z nami na dziadach.“

Ale oto uczta skończona. Przeżegnawszy się więc, wstają od stołu, a gospodarz kłania się, dziękuje dziadom-pradziadom, że przyszli i prosi, by szli w spokoju do siebie. Trzy bułki ustawiają jedną na drugiej „na kącie,“ wszystko pozostaje na stole, tylko przykrywa się rogiem obrusa, i ludzie idą spać pogodnie. Nazajutrz dopiero zbierają ze stołu i chatę zamiatają, ostatki, które przez noc nie znikły — kurom oddając.



Groby, wy nasze ojczyste groby,
Wy życia pełne mogiły,
Wy nie ołtarzem próżnej żałoby,
Lecz twierdzą siły.

* * *

„Memento mori, wszystko wokoło
Dziś piętno śmierci na sobie ma,
Smutku zaduma spływa na czoło,
A w oku żalu perli się łza.

***) Tak samo widać przez dudkę dzięgielowego badyla, albo mając pas z nici „odchodnych“ z krosien.



Maciej Łubieński.

OLANA.

OBRAZEK.

Było to po zachodzie słońca. Rozległy step odpoczywał, wdychając w siebie blaski purpurowych promieni. Świeże, wonne i czyste powietrze orzeźwiało płuca, lekki powiew wiatru kołysał powierzchnię stepu, pochylał bladoróżowe kwiaty bodjaków, szemrał po nich łagodnie i cicho...

Tonąc rozkosznie w wysokich trawach, patrzałem w niebo, śledząc wędrówkę bladych obłoków i grę świetlnych czarownych cieni, gasnących stopniowo w bezkresnej stepowej gdzieś dali.

Po chwili zagadnął mnie Stach.

— Czy wiesz, że dziś znowu byłem na grobie Olany? Tak pięknie tam i cudnie... Dzikie róże pną się i tulą do krzyża. Głucho... cicho... Tylko wiatr hula, i pachną polne zioła... Szkoda dziewczyny!...

Nie odrzekłem nic, zżymałem się tylko w duchu. Od parodniowego bowiem pobytu naszego w tym zakątku Ukrainy Stach wszystkie prawie noce przesiadywał na mogile Olany i tęsknił tam — jak sam mówił — do wieczystej wiosny, do innego życia!...

Stach był to dla mnie typ niezmiernie sympatyczny. Idealista z przekonań, uczuciowy i wrażliwy, niósł on przez życie, jego zawody, bóle i brudy duszę szlachetną i czystą, duszę marzyciela, który w krótkiem swem życiu wiele już przeżył i przecierpiał.

Znałem na pamięć dzieje Olany... Wiedziałem jednak, iż, mówiąc o tem, ulgę moralną czynię Stachowi. Zagadnąłem więc, niby ciekawie:

— Opowiedz no mi coś jeszcze o Olanie. Kim ona była właściwie?

— Była córką leśnika, zagonowego, schłopiałego szlachcica — odparł Stach — matka zaś jej pochodziła z ukraińskiego ludu... Po ojcu odziedziczyła pewną hardość, dziwną szlachetność uczuć i dumę, z mlekiem matki wyssała tylko smętną, marzycielską tęsknotę... Poza tem była powolna, zimna i nieczuła na rozkosze ziemskie, unosiła się jakby ponad namiętnościami ludzkiemi, nie wiedziała, co szał!...

Poznałem Olanę przypadkiem, na polowaniu... Widywaliśmy się później codziennie.

Słuchałem melodyjnego jej głosu, jej zwierzeń, radości i smutków i stopniowo coraz bardziej zdobywałem jej zaufanie. Olana lubiała mnie — czułem to aż nadto dobrze. Była ze mną szczera i swobodna — była sobą!... Stała się wkrótce dla mnie drogą, była mi niepokalanem i białem kwieciem polnem, i czarującem przez wdzięk prostoty.

Pewnego dnia wyznałem jej swoją miłość...

W słowach, pełnych uczucia, otworzyłem przed nią duszę... Nie zapomnę nigdy wzroku Olany, oczy jej pytających, zdziwionych, chłodnych!...

Nie zrozumiała mnie — ona nie wiedziała, co miłość. Smutek owładnął mną wtedy. Poza osobistym zawodem, zabolało mnie również, iż natknąłem się oto empirycznie na fakt życiowy, w który nigdy wierzyć nie chciałem.

...że kobieta może być młodą, piękną i nie umieć — kochać!...

...że zamknięty więc jest dla niej cały rój uciech duchowych, że obcy — czar wzruszeń i zwątpień, cały bezmiar szczęścia i cierpienia!...

Później długo w rozmowach nie powracaliśmy do tego przedmiotu... Lecz oto nagle stał się cud!... Olana duchowo ożyła... Począł drżeć jej głos, gdy przemawiała do mnie, rumieńce na mój widok ożywiały jej lica, bladła, gdym dotykał jej ręki, dziwnie białej i nie spracowanej — ożywiała się cała, gdy przestawała ze mną.

Stał się cud — kochała mnie!

Byłem szczęśliwy, milczałem jednak... Bałem się, by słowa powtórnego wyznania nie były znów może przedwczesne!...

Stach na chwilę przerwał opowiadanie.

— Później, jak wiesz, majątkowe sprawy oderwały mię od niej na lat parę. Lecz, czy uwierzysz?... Zapomnieć nie mogłem Olany.

Myśl nawet szalona może zrodziła się w mej głowie. Chciałem ją poślubić! Bo wierzyłem wówczas, jak wierzę i dotąd jeszcze, iż duszy ludzkiej, tak *par excellence* kobiecej, a równie niewinnej, czystej i wzniosłej przez swą prostotę, nie spotkam już nigdy w życiu! Lecz, niestety, porzucić Olanę wówczas byłem zmuszony i... wróciłem — zapóźno!...

Stach umilkł wzruszony i kończył rzewnie:

— Umarła... Zgasła, jak gasną gwiazdy, lecące pewnej nocy w otchłanie wszechświata, usnęła cicho, jak usypiają kwiaty: po cichym upale w lipcowe ciche noce...

I wiesz, że ja, naprzykład, zazdroszczę wprost teraz ludziom, którzy mają dusze proste... Ileż drgnień przykrych odczuć nie potrafią! Szczęśliwi!...

Urwał i dorzucił niebawem z goryczą:

— Naprzykład ci bracia Olany. Pracują, orzą, sieją... Myśl o śmierci siostry już od nich daleka. *Boh dał — Boh wział! Taj hodi...* — mawiają tylko, z filozoficzną rezygnacyą.

— I mają słuszność! — przerwałem. — Nie rozumiem wogóle tej tak przeczulonej u ciebie rozpaczy. Olanę, bądź co bądź, znałeś wogóle tak mało, tak krótko... Była dziewczyną z ludu, nie była nawet twoją kochanką!...

— Właśnie może dlatego — westchnął Stach. — Ceniłem w niej tę dziwną czystość, kochałem piękno ciała, wielbiłem ducha prostotę, podziwiałem jej odmienność i wyższość od przeciętnych typów kobiecych...

Nie chciałem przeczyć Stachowi, nie chciałem bluzgać ironią, kalać sceptycyzmem jego wiary w nieskazitelność tej duszy kobiecej... Korzyłem się tylko mimo woli przed jego idealizmem, tak pięknym w oderwaniu się od namiętności ludzkich, od poziomu marnego życia zbanalizowanych duchowo jednostek. Zresztą może wyjątkowo trafił właśnie na pokrewnego sobie ducha? Może?...

Spojrzałem na niego z pod oka.

Nie patrzał na mnie, wzrok miał utkwiony w daleki, majaczący krzyżami kurhanów, stepowy cichy cmentarzyk, który mrok zasnuwał gazą cieni.

Wokoło tymczasem stawało się coraz senniej i ciszej; usypiały, zda się, nawet zwolna wysokie trawy i kolczaste bodjaki; tylko świerszcze i bąki rozpoczynały teraz muzykę monotonną, kojarzącą się dziwnie uroczo z majestatycznym spokojem stepu. Powstałem zwolna i rzekłem:

— No, chodźmy, Stachu — już późno!

— Idź — ja zostanę. Pójdę do niej raz jeszcze ostatni...

Pożegnałem go w milczeniu i skierowałem się ku majaczącemu w dali, na pochyłości jaru, ukraińskiemu futorowi.

Gdy po pewnym czasie obejrzałem się, sylwetka Stacha oddalała się, ginęła już w perspektywie szerokich równin. I zdało mi się, iż naprzeciwko niego płynął przestrzenią duch Olany, że zniżał się ku niemu po świetlistej smudze spadającej właśnie w tej chwili na śniący, cichy step promiennej blado-złotej gwiazdy.



Paula Wężyk.

W ZADUSZNĄ NOC.

Ponad ziemią przesiąkłą wilgocią oparów
Mleczne mgły się zwieszają żałobną oponą
I noc cudów tajemnych i godzina czarów
Jest nad zmarłych ogrodem, kędy światła płoną.
Płonie lampek tysiące w noc tę tajemniczą,
Co dziwnie przypomina legendowe baśnie,
Płoną lampki, migocą, to trzeszczą, to syczą
I wnet jedna po drugiej cicho, — cicho gaśnie.
Reszta liści z drzew lecąc skarży się boleśnie
I wieńce ślą z nad mogił obumarłe wonie
Ogród umarłych zda się pogrążony we śnie
I nigdzie ani jedna lampka już nie płonie.
Tylko kędyś, wysoko, przez mgliste woale,
Jakby księżyc zabłysnął złoto-srebrną smugą
I zbudziły się groby, jakieś gorżkie żale
Rozpłakały się cicho i brzmią długo, długo.
Już północ głoszą właśnie zamiejskie zegary
I księżyc z za mgły wyjrzał i zajaśniał łuną
I w noc tę tajemniczą dziwne zjawy — mary
Powstawszy cicho z mogił, korowodem suną.
Suną kędyś, przed siebie, w poświacie tej bladej
Widma, co zda się lżejsze od nitki pajęczej
I nikną wnet za niemi wszelkie po nich ślady
I słychać tylko skargę, co ich bólem jęczy.
Wtem, zamilkły już wszystkie cichej skargi tony,
Rozpłynęły się widma wznosząc się nad ziemię
I tęskną dążą spiesząc w różne świata strony
Tam, kędy ktoś najdroższy w spokojnym śnie drzemie.
Tylko jedno wejrzenie i westchnienie jedno
Rzucić tam, gdzie się żyło wśród swego ogniska
I przeżegnać raz jeszcze sierotkę swą biedną,
Co nawet tam, za grobem droga jest i bliska.
Więc suną widma cicho jak znikome cienie,
By z lic swych drogich, śpiących odgadnąć choć skrycie,
Co ich cieszy, co boli i jakie cierpienie
Zatruwa radość życia, przyspiesza serc bicie.
I suną widma cicho i na chat swych progu
Przyklękają serdecznie, przylgnąwszy ustami
I żywych, drogich swoich polecają Bogu,
Słuchając ich oddechu chcą władnąć myślami.
I wpatrują się w twarze kochane i miłe,
Przez zamknięte powieki chcą czytać zamiary:

Czy ci, tu pozostali mają hart i siłę,
Czy kochają kraj, Boga, czy mają dość wiary?
Lecz potem, gdy mgły mleczne zwolna się przerzedzą
I gdy dzienny świt zwalcza nocny pomrok mgławy,
W powrotną znowu drogę nad polem, nad miedzą,
Smutniejsze jeszcze suną ciche widma, — zjawy.
Lekki wietrzyk gałęzie nagich drzew kołysze,
Czasem zadmie znów silniej i krzakiem zatarga,
Krzak zajęknie, jak echo w tę przedranną ciszę
Wpada druga, bolesna, rozpaczliwsza skarga:
„Ach, nie ma po co wracać, nie
Z poza cmentarnych wrót,
Bo źle na świecie, źle jest, źle,
Już nie ma dawnych cnót.
Zgnilizna zbrodni z dnia na dzień
Wciąż więcej kala świat,
Już zagasł blask, panuje cień
I zwiądł już cnoty kwiat.
I wśród pałaców i wśród strzech
I tam, gdzie Boży dom,
Wszędzie, wszechwładnie gości grzech
I wnosi zbrodnię — srom.
Już pokalany Boży próg,
Już w brata godzi brat,
A tryumfuje szatan — wróg,
Że tak się spodlił świat.
Ach, nie ma po co wracać, nie,
Z poza cmentarnych wrót,
Bo źle na świecie, źle jest, źle,
Już nie ma dawnych cnót!“
Zwolna cichną te skargi i znów wśród cmentarzy
Panuje święta cisza niezmącona niczem,
A tam, na wschodzie słońce ogniście się żarzy
I tem samem znów na świat spogląda obliczem.





Bruno Sassnick.

Nieśmiertelność.

Legenda.

Tłom. T. D.

Wysoko ponad wszystkiemi światy szumi woda — tryskająca ze źródła odwiecznej nieśmiertelności. Z jej jądra roznosi się drzewo gwiazd z owocami życia — niedostępnemi wszelkim ziemskim istotom.

Tylko Symurg, władca ptaków może wzlecieć w tę niezmierzoną wysokość. Pije tam mądrość i życie z kryształowych wód. On jeden wzlatuje tam w gałęzie drzewa gwiazd i łamie kosztowne owoce.

Symurg patrzy bystrym wzrokiem na ziemię i nic się nie ukryje przed orlim jego wzrokiem. Patrzy na życie śmiertelnych, a jeśli zauważy kogo, co nieszczęśliwy, samotny, opuszczony od ludzi — ze wzrokiem utkwionym w gwiazdy modli się czystem sercem, wtenczas odczepia z drzewa gwiaździstego owoc kosztowny i spuszcza go na ziemię na pokarm temu jednemu Wybranemu.

A jeśli długo trwały modlitwy i Pobożny leży na łożu śmiertelnem, wówczas Symurg szumiąc sam zlatuje z obłoków i unosi go ze sobą na rozpostartych skrzydłach — w górę do źródła nieśmiertelności. Tam zwilża mu spragnione usta, i nowy kwiat rozkwita na gwiaździstem drzewie.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 30-go października 1432 potwierdzenie praw i przywilei wołyńskich. — 1599 Zygmunt III. z powrotem z Szwecyi przybywa do Gdańska. — 1657 traktat bydgoski.

Dnia 31-go października 1432 nadanie praw teutońskich Ormianom w Polsce. — 1564 Husytom zostawiona wolność wyznania.

Dnia 1-go listopada 1320 pobicie Krzyżaków. — 1733 posłowie Augusta III. podpisują elekcyą. — 1769 bitwa pod Lanckoroną.

Dnia 2-go listopada 1390 hołd Wrócisława, księcia pomorskiego. — 1794 Moskale oblegają Pragę. — 1848 zbombardowanie Lwowa.

Dnia 3-go listopada 1376 Litwa najeżdża Polskę. — 1633 sejm elekcyjny. — 1656 umowa Jana Kazimierza z carem o tron. — 1705 August II. wznawia w Tykocinie order orła białego. — 1771 porwanie Stanisława Augusta. — 1806 Henryk Dąbrowski wzywa do broni.

Dnia 4-go listopada 1557 zostawiona wolność wyznań Gdańskowi. — 1614 urodzenie królewicza Aleksandra Wazy. — 1648 Kozacy oblegają Zamość. — 1768 Turcy wypowiadają wojnę Moskwie. — 1794 rzeź Pragi.

Dnia 5-go listopada 1370 śmierć Kaźmierza W. — 1617 wyprawa Wła-

dysława IV. na Rosyę. — 1645 zaślubienie w Paryżu Maryi Gonzagi Władysławowi IV. — 1668 sejm konwokacyjny — 1788 protestacya Rosyi przeciw poprawie rządu w Polsce.

Na grobowcach lampki płoną,
Jakby gwiazdki kolorowe,
Darń mogilną barwią światła
Modre, białe i różowe;
W światłach stoją czarne krzyże,
Pochylone nad grobami,
Cały cmentarz lśni zalany
Świetlanemi potokami.

* * *

„Czyścowe duszycki!
W jakiejkolwiek świata stronie
Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czyli dla dotkliwej kary,
W surowem wszczepiona drzewie,
Gdy ją w piecu gryzą żary!
I piszczy i płacze rzewnie:
Każda śpieszcie do gromady!
Gromada niech się tu zbierze!
Zstępujcie w święty przybytek;
Jest jałmużna, są pacierze
I jedzenie i napitek!“

A. Mickiewicz. — „Dziady“.

Humor i satyra.

Romanzero.

O pójdź Fernando na przechadzkę,
Miast siedzieć wciąż, jak struty —
— Nie mogę, donno, chodzić z tobą
Bo mam podarte buty.
Ach, co tam buty! Pójdź mój luby,
Ja czekam cię ze łzami,
— Kiedy mam żakiet, ukochana,
Dziurawy pod pachami.
I bez żakietu mój Fernando
Też jesteś pełen gracyi.
— Inekspimable mam, niestety,
U krawca w reperacyi.
Więc weź na siebie futro sute,
A resztę miej w pogardzie,
— A jakże! futro wraz z paletkiem
Oddawna jest w lombardzie.
Więc próżno czekam, nieszczęśliwa!
Próżno dzień cały biadam?!
— Nie mogę przecież po ulicach
Wędrować, jako Adam!

* * *

Fatalność.

Artysta (przed stalugami): To szczególne!... ile razy zaleję pałkę, przychodzą mi świetne pomysły do głowy, ale nie mogę malować; jeźli zaś nie zaleję pałki, mogę malować, ale znów mi nic do łba nie przychodzi.

* * *

Jaśnie państwo.

Gość: Słuchajno, liczysz mi to wino po 7 marek, tymczasem jeden mój znajomy mówił mi, że za taką samą butelkę płacił tu u was tylko 3 marki?

Kelner: Bardzo być może, proszę jaśnie pana, bo nasz gospodarz zwyczajnej hołocie sprzedaje to wino po 3 marki, ale od jaśnie panów bierzemy zawsze po 7 marek.

* * *

Zemścił się.

Na placu Piotra w Poznaniu spotyka rzeźnik znajomego piekarza.

— Zkąd bogowie cię prowadzą? — pyta piekarz.

— Byłem w twoim sklepie, — odpowiada rzeźnik, — i kupiłem sobie bochenek chleba.

— A gdzie go masz?

— W kieszeni od kamizelki, — mówi rzeźnik, uśmiechając się złośliwie.

Piekarz zacisnął usta ze złości, ale postanowił się zemścić.

W kilka dni później spotyka rzeźnika na ulicy.

— Skądże to? — zagaduje go zatrzymując w biegu.

— Od ciebie, — kupiłem sobie ćwiartkę cielęciny.

— A gdzie ją masz?

— Pod kapeluszem, — odpowiada piekarz tryumfująco.

* * *

Dziwna pretensya.

— Moja żono, — woła mąż do pięknej swojej połowy przy śniadaniu, w chwili gdy mu służąca podaje nowy rachunek od krawcowej. — Wczoraj zapłaciłem za twoje stroje 200 marek, a dziś mam płacić znowu?

— Jakto znowu, — odpowiada z flegmą małżonka — przecież dziś jeszcze żadnego rachunku za mnie nie zapłaciłeś.

Łamigłówka krzyżowa.

Nadesłał czytelnik „Pracy“ p. J. Dukat z obczyzny.

		a	a	a		
		a	e	e		
e	e	i	i	i	i	k
k	k	k	l	l	l	l
m	m	n	n	n	o	o
		p	t	t		
		t	t	w		

Ta łamigłówka w sobie chowa
Następujące trzy słowa:
Tryumfujące stanowisko;
Ucznia celującego nazwisko;
Pośledniej tabaki przezwisko,
Ale każde z nich tak złóż,
Byś je czytał wszerz i wzdłuż.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 3-go listopada włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dobre i dokładne rozwiązanie powyższej łamigłówki.

Rozwiązanie szarady zamieszczonej w numerze 42-ym:

1. Z
2. abo
3. fis
4. fagot
5. Dante
6. Mogilno
7. Sparzeczka
8. Głownia.
9. Kroże
10. Ule
11. Bieda
12. Złośnik
13. Szajnocha
14. Sienkiewicz
15. Częstochowski
16. Karliński Kasper
17. Zamoyski Andrzej

ZBIGNIEW OLEŚNICKI.

Dobre rozwiązanie nadesłały do dnia wyznaczonego termina t. j. do 20-go b. m. włącznie następujące osoby:

Z POZNANIA: pp. J. Borys, Ignacy Czechowski.

Z PROWINCYI: p. Wacław S. z K.

Z GÓRNEGO ŚLĄSKA: pp. Berta Badura i Jan Badura z Roździenia.

Z OBCZYZNY: pp. Mieczysław Gniadkiewicz i Kazimierz Dąbrowski z Berlina.

Nagrodę otrzymali: pp. Ignacy Czechowski z Poznania, Wacław S. z K. i Mieczysław Gniadkiewicz z Berlina.

NASZ KĄCIK.



Na cmentarzu.

Dziecię.

Czemu to mamo tak uroczyście
Dzisiaj jest w pośród cmentarzy?
Tak pod stopami szeleszczą liście
I tyle świateł się żarzy
I tyle kwiatów na groby niosą?
Dla czego, powiedz mateńko,
Oczy nie jedne łzawią się rosą,
A twarz drga bólem i męką?

Matka.

O, tyś szczęśliwą moja dziecino,
Bo nie straciłaś nikogo w świecie,
Tym, co tu idą łzy z oczu płyną,
Bo ich rozłąki straszny ból gniecie.
Jutro święcimy umarłych święto
Śląc za nich w niebo nasze pacierze,
Myśl więc wspomnieniem tych jest przejętą,
Co kochaliśmy ongi tak szczerze.
Tu płaczą mężów zbolałe żony,
Serce im żalem w piersi kołata,
Tu nad mogiłą znów mąż strapiony,
A tutaj siostry, co płaczą brata!
A tam znów biedne, małe sierotki
Modlą się, tulą wzajem ku sobie,
Ubogi wianek zdobny w stokrotki
Kładąc na zmarłej mamy swej grobie.

Dziecię.

O, moja matuś, biedne te dzieci,
Którym Bóg mamę zabrał do siebie,
Niech On opieką z nieba im świeci,
A duszom zmarłych spokój da w niebie.
Lecz ciebie mamo niech mi zachowa,
O, bo to smutno zostać sierotką,
Żyj ze mną matuś, spokojna, zdrowa,
Żyj, bo przy tobie dni płyną słodko.
Odmówię „Zdrowaś“ za was, o dusze
I codzień będę zmawiać pacierze,
Lecz w zamian proszę w słodkiej otusze,
Niech mi mej mamy Bóg nie zabierze.

P. W.

* * *

Chcę iść do szkoły!

(Ciąg dalszy).

Mama spojrzała na zegarek i rzekła wstając z ławki: — Już późno Jasiu, musimy iść do babci, ale jeśli cię to zaciekawia, to chętnie idąc opowiem ci jeszcze coś o rysiku. — A o gąbce mamusiu?

— Dobrze i o gąbce mogę ci opowiedzieć, bylebyś tylko zaraz nie zapomniał. — O, nie mamusiu, zobaczy mama jaki ja teraz będę rozsądny. — Mama uśmiechnęła się trochę niedowierzająco: Rysiki robią z łupku, który miękciejszy jest od łupku szyfrowego i nazywa się łupkiem talkowym. Zaraz po wyjęciu tegoż łupku z ziemi, krają go nożami na wysmukłe słupki i suszą, a dla ozdoby oblepiają potem kolorowym papierem. — Moje są śliczne, prawda mamusiu, takie różowe i niebieskie mają sukienki. — Tak, ale pamiętaj, że rysiki nie są trwałe i upuszczone na ziemię łamią się zaraz. — Ale gąbka za to proszę mamy, nie niszczy się pewnie tak łatwo, a z czego też robią gąbki?

Gąbka synku, nie jest rzeczą wyrobioną ręką ludzką, patrząc na nią trudno to sobie wyobrazić, a jednak jest ona pochodzenia zwierzęcego. — Czy to być może mamusiu? ja jeszcze takiego zwierzątka nigdy nie widziałem. Bo też gąbki Jasiu żyją na dnie morza, przyczepione do skały. Każda z nich jest pokryta błoną z otworkami, które wiodą do kanalików, łączących się wewnątrz ciała gąbki. Żywią się gąbki drobnemi żyjątkami i roślinami, które wraz z wodą dostają się otworkami do kanalików. Mnożą się one w ten sposób, że ku jesieni wypuszczają z siebie pąki, w postaci małych kuleczek pokrytych drobnemi rzęsami, te kuleczki unoszą się w górę i bardzo prędko poruszają się w wodzie, a po krótkim czasie drobne te żyjątka opadają na dno i znów przyczepiają się do skał i zaczynają tak samo rozrastać się i mnożyć jak ich rodzice. W ten sposób z tych licznych, połączonych z sobą ciał tworzy się masa kulista, w postaci krzewu, do którego wciąż nowe przyczepiają się gałęzie i odnogi. — Ale jakże mamusiu ludzie wydostają te stworzonka z wody? — O, z tem to jest praca nie mała. Otóż kilku lub kilkunastu ludzi wybiera się łodzią na morze i długim żelaznym, śpiczasto zakończonym drągiem, całemi kawałami odrywają gąbki od skał. — Lepsze gatunki gąbek leżą głębiej w morzu i te wydostaje nurek, czyli człowiek, opuszczający się na dno morskie. — A czy on tam się nie utopi, mamusiu? Nie, bo jego ubranie jest do tego zastosowane, umie on doskonale pływać, a prócz tego, towarzysze spuszczają go w głąb morza na linie, a sami stojąc na łodzi mocno ją trzymają.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Prośba wróbelków.

Już jesień przyszła, już,
A za nią zima tuż,
Ćwir, ćwir, kto ziarnko da,
Gdy zima przyjdzie zła?
Polska dziatwo wesoła,
Co masz chleba dostatek,
Głos wróbelków cię woła,
O, złóż ptaszkom swój datek.
Ach, podzielcie się z nami
Dobre, grzeczne dziecinki,
Waszym chlebkiem, bułkami,
Sypcie, sypcie kruszynki!
Zimny wicher nas mrozi
I głód wśród nas jest wielki,
Za to szczęście u Bozi
Wam wyproszą wróbelki.
Ćwir, ćwir, ćwir, ćwir, ziarenko,
Okruszynki z bułeczki,
Syp chłopczyku, panienko,
Sypcie drogie dziateczki!

P. W.

* * *

Dobra rada.

Idź spać rychło, z wieczora,
Siedzieć w nocy nie pora,
Wstawaj wcześnie, o świcie,
Przejdziesz zdrowy przez życie.

P. W.

* * *

Wierzcie, wierzcie moje dziatki
Zdrowsze mięso i jarzynki,
Niż karmelki, czekoladki,
Słodkie ciastka, leguminki,
Bo kto jada proste strowy,
Ten wyrośnie mocny, żwawy.

P. W.

* * *

Zagadka geograficzna.

Z odgadnięciem zagadki niezbyt trudna praca,
Miasteczko w Królestwie tak samo się zwie,
Jak to, co się u woza wciąż naprzód obraca,
Lub na czem cyklista zgrabnie, szybko mknie.
Niech wam geograficzna ułatwi to karta,
Mówiąc, że przez to miasto płynie także Warta.

P. W.





KAMIENNA WOLA.

POWIEŚĆ.

7)

(Ciąg dalszy).

— Tak — rzekła Jadwiga. Może sam pójdzie za pługiem ziemię orząc, ale ziemia ta odczuje i da mu z wnętrza swego zapłatę za poświęcenie szlachetne. Ojciec stary będzie nad nim błogosławiące ręce wznosić, matka nakreśli mu krzyż nad czołem, a ja stanę przy jego ognisku domowem i czuwać będę, aby znalazł zawsze ciepło ożywcze, gdy wróci do domu spracowany.

Mówiła wzruszona aż do łez, a p. Władysław stał i śmiał się szyderczo. — I tą rodzinną sielanką zapłacicie Oktabowicza? zapytał.

— Może — odparła Jadwiga. — Może człowiek pracowity uszanuje pracę i uczucia rodzinne, może się okaże względnym i mniej surowo niż dotąd rachować się będzie. Liczę dla Jana na wszystko dobre, mieszczące się w sercach ludzkich i wszystko dobro mogące z nieba spłynąć na ziemię — liczę na przyjaźń ludzką i łaskę Boską, które mu dopomogą w dziele trudnem.

P. Władysław zaczął się śmiać, ale śmiechem przymuszonym. Każde słowo wdzięcznej miłości dla Jana, było słowem wyrzutu dla niego i za młody był jeszcze, aby go nie zabolało. Ruszył ramionami, niby litując się nad jakąś rzeczą śmieszną, nad jakiemś budowaniem na lodzie i zabrał się do odwrotu, ale odedrzwi już zawrócił nagle: — Czy to czasem nie jest ukartowane mędrzej, niż się zdaje? — zapytał — czy przypadkiem kochany Jasio nie ma planiku pewnego? U pana Oktabowicza dobrodzieja jest córunia dorastająca, piękność właśnie do domowego ogniska i w razie zalotów najlepszego syna i brata, tatunio okazałby serce rozczulone. Dalibóg, że to bardzo być może... ale bardzo, a bardzo... Zacny krecik kryjaczek ryłby sobie w takim razie cichutko, ażeby Kamień cały wpadł w dołek jego podziemny.

— Władysławie — rzekła Jadwiga smutnie — mam serce głęboko zakrwawione, serce, które nie od dziś cierpi, nie od dziś jest rozdarte, nie męcz mnie zatem, bo może jest grzechem to czynić...

Władysław zaczerwienił się. — Od jutra nie będę już męczył nikogo w tym domu — odparł opryskliwie. Benjaminek zostanie kochanym braciszkiem i synkiem, a skoro rzeczy tak stanęły jak powiadasz, skoro ojciec śpi spokojnie, zdawszy się na Jana, ja już tu nie mam co robić... Jutro rano odjeżdżam i proszę cię niech śniadanie będzie przed siódmą...

Śniadanie było przed siódmą, wypił je i pojechał. Może i on miał w piersi serce ściśnięte, ale nie pokazywał tego; o interesach nic już nie mówił, każde z rodziców na pożegnanie w rękę pocałował. Jadwigę zlekka w czoło cmoknął, i szpaki, kręcące się już w zaprzęgu, jak wiatr z nim poleciały. Tylko wychodząc już za próg wrócił się i powiedział, w którym hotelu w Warszawie stanąć zamierza, gdyby więc rodzice go potrzebowali, tam do niego pisać należy. Przyczem oznajmił jeszcze ojcu, że na rachunek przyszłych rat propinacyi kamieńskiej wziął na drogę do Warszawy — bo o czemżeby jechał? dwa tysiące złotych od nowego propinatora, z którym jeszcze przed Wielkanocą zrobił ugodę, od św. Jana obowiązującą. Mówiąc to zaczerwienił się aż po czoło same, bo umowa stanęła wczoraj w miasteczku i p. Władysław po to tam jeździł i do późnej nocy siedział. Umiał ją uczynić tak dogodną dla drugiej strony, że półroczny czynsz z góry dostał.

Pan Piotr, słuchający smutnie, nic na to synowi nie powiedział, wyprowadził go wraz z Jadwigą na ganek, a gdy konie już ruszyły, zrobił za nim trzęsącą się ręką krzyż w powietrzu. Nieszczęśliwa matka nie mogła — została jak odrętwiała przy stole, przez śniadanie zastawionym i przyciskała serce ręką.

W dwie godziny potem wyjechał drugi, pierworodny, który dotychczas nic nie wiedział, że jest w tej rozsypce rodzinnej już drugim z kolei. Pan Adam zwykle później niż rodzice i rodzeństwo wstawał, a woźnicy Wojtusiowi kazał wczoraj być na dziesiątą gotowym, i gdy na godzinę przedtem rodzicom się ukazał, powiedziano mu dopiero, że Władysława już nie ma. Brat młodszy zapomniał pożegnać brata starszego, a ten uczuł teraz w piersi bolesne jak gdyby drapnięcie, bo potężne są węzły, któremi rodzina wiąże do siebie nawet serce egoisty.

I powtórzyła się znowu poprzednia scena dramatu: pan Adam w chwili wyjazdu zostawił rodzicom adres, pod którym pisać by mogli — gdyby go potrzebowali...

Poranek dnia kwietniowego był lekko mglisty, i wyjeżdżający synowie nie widzieli nad sobą wesołego uśmiechu słońca. W nocy deszcz padał; gęsty, ciepły, rzesisty deszcz wiosenny, po którym zazieleniają się pola i puszcza bujna trawa na łąkach, a którym napojona ziemia nie turkotała teraz rozgłośnie pod kołami odjeżdżających. Jechali cicho po zwilżonym gruncie rodzinnego kąta ziemi, i pan Władysław, bezmyślnie patrzący po stronach, powiedział sobie mimowoli, że zboże zacznie teraz dopiero rość ostro. I może wyobraził sobie natychmiast znane dobrze łany okryte tem zbożem, gdy kwitnie, a o bronę wznosi się nad niem srebrny obłok pary wonnej; może je widział już potem, falujące morzem kłosów złotych, bo zmarszczył się przykro i rzucił w tył na siedzenie.

— Poganiaj Wojtuś! krzyknął — wleczemy się jak za umarłym....

Pan Adam, jadący następnie świeżym śladem kół braterskich, siedział w otwartym powozie blady, a gdy właśnie wieś minął, zaczęto dzwonić na mszę, i dźwięki odezwały się za nim z tyłu, a on — marszczący się też z początku — wychylił się potem z powozu, głowę za siebie wykręcił i tak słuchał, patrzył na wieś między ogrodami, na dwór na wzgórzu, na kościół drewniany wśród wieńca lip starych, aż dopóki w las nie wjechano.

Las szumiał pod wiatrem lekkim, szemrał, drżał jakimś skrytym dla oczu ruchem wiosennym, a że droga wio-

dła właśnie dębniakiem, wśród którego niekiedy bielały brzozy z rozchwianemi warkoczami, widać było od czasu do czasu ptactwo przelatujące między nagiemi jeszcze gałęziami, a dołem pod drzewami widniały drobne kwiateczki, które najpierw budzi słońce wiosenne. Pan Adam widział białe dzwoneczki podlaszczek, widział liliowe kielichy sasanek i patrzył na nie, patrzył, aż na raz zakukała w lesie kukułka pierwsza, a jemu usta poruszył uśmiech smutny. — Powinienem nie zubożyć, szepnął, podnosząc rękę do pugilaresu na piersiach — mam przecież inkluza przy sobie....

Przejechał dalej, bokiem od dębniaka wziął się stary Maciej na prawo, do szosy się kierując, bo powozem choć odkrytym nie można było na wązką groblę się puszczać, gdy wkrótce zaraz, drogą od Kamiennej Woli ukazał się jeździec na koniu. Jan to jechał do miasteczka, do Oktabowicza, bo nie czekał dnia terminu ostatniego, namyśliwszy się już ostatecznie przez całą niemal noc niespaną. Zdecydował się na ofiarę ciężką, na wpuszczenie ludzi obcych pod dach starego domu rodzinnego, ale zaraz na wstępie powiedział sobie, że nie lekko odkupuje się to, co raz straconem zostało, i teraz już niemal spokojny, bo na konieczność zdecydowany, jechał przedstawiać Oktabowiczowi punkta umowy. Może człowiek twardy i te ciężkie dla niego warunki odrzuci, może cięższe postawi? To też Jan puścił konia stępem i jadąc tak dumał, aż zwolna grająca w koło niego muzyka lasu, zaczęła mu łagodnie myśl zatroskaną kołysać. Lud się nie myli mówiąc o śpiewającej wodzie i grającem drzewie — drzewa są jak gdyby harfami powietrznemi, na których grywają wszystkie lecących wiatrów powiewy, mroźne czy parne, a każdy inaczej, i wie o tem dobrze ten, co samotnie w lasach bywa. Las cały gra pod przepływającem powietrza tchnieniem jak orkiestra ogromna, a do wtóru tego śpiewają pieśń swoją smętnie stojące stawy, jeziora leśne, albo dzikie, wesołe strużki; łączą się do chóru ptaki, muszki i tworzy się razem czarodziejski koncert natury, który w zimie dopiero, gdy wody staną, ptaki odlecą, owady usną snem bezwładnym ustaje, a poczyna się uroczysta, solowa, poważna drzew muzyka. Teraz już grało powietrze ciepłe, mieszały się dźwięki miększe, tkliwsze, weselsze, i Jan wsłuchiwał się w nie z rozkoszą, a coraz to w krzaku którym zaświergotała mu jakaś ptaszyna drobna, na podobieństwo dzieciaka wesołego, któryby wybiegł boso przed chatę i klasnął do słońca w rączęta — coraz to w górze nad głową zagwizdał kos, zagruchał miłośnie gołąb dziki, siwa turkawka, a słońce zaczęło mgłę przebijać i ciskać z góry promienie gorące. Woń balsamiczna pękających brzóz i dalszego, sosnowego lasu po nocnym deszczu z wiaterkiem wschodnim płynąca, orzeźwiała i poiła pierś Jana, jak gdyby zapasem zdrowia i siły, to też zaczęło mu tej siły przybywać i do dawnej woli mocnej, ale z uczuciem ciężko smutnej konieczności złączonej, zaczęło przybywać energii odważnej, która śmiało przed siebie patrzy, i o najcięższe trudy dumną myślą potrąca. Dębniak ów był lasem odwiecznym, w ostatnich czasach dopiero przetrzebionym, przecież dla uważnego a znającego się oka, widać było na jednej polance falowanie gruntu nierówne, jak gdyby go tu kiedyś starożytna socha w niekształtne zagony podarła, a zaraz na wzgórzu kilku dołkami pokopanem, kilku dużemi kamieniami najeżonem, domyślać się było można miejsca jakiejś sadyby przedwiekowej, i Jan zatrzymał chwilę konia. — Kto wie — myślał — jaki siedlec miał tu zagrodę swoją? Może to nieznany praszczur dziadów moich, kamieńskich dziedziców, i ja mam w żyłach kroplę krwi jego? A jemu czy łatwo było w dębowej puszczy się osiedlać, dom ze spuszczonych berwion stawiać, pnie ogniem karczować, nowiznę twardą drzeć sochą prostą i z dzikiem zwierzem las dzielić, walkę z niem toczyć i zwyciężyć w niej, zbogacić się tak i spanoszyć z latami, że aż ludzie zaczęli się w koło śmiałego żupana hurmem skupiać i razem, gromadą pracowitą przenieśli się na błonia za rzeczułkę, na wzgórza słoneczniejsze? Co gorącego potu popłynęło na pierwszy siedliska zawiązek, opole pierwsze? Co go wsiąknąć musiało nim grunt twardy, staremi korzeniami dziczyzny swej oporny, stał się dzisiejszą glebą żyzną, rolą uprawną? Nie lenił się ten, co tu pierwszy o jakiś kamień, może ofiarny, węgieł domu swego oparł, trudów się nie bał, znojów nie żałował, nie trwożył się miękko zapasów z losem, harców z człowiekiem i zwierzem?

Zdawało się młodzieńcowi, że z gąszczy krzaków dębowych wyjdzie do niego na oblaną słońcem polankę jakaś postać ogromna, ogorzała i barczysta, zaśmieje się, może szeroką dłoń poda i w róg woli zatrąbi, aby sprowadzić mu przed oczy całą gromadę różnych robotników przeszłości — od tych w pół dzikich, co dzikie też pszczole pierwszą bardź miodu z kamieńskiej sosny zdarli, w pierwszą skibę dzisiejszej kamieńskiej niwy liche ziarnko jarego żyta wsiali, do tych już innych kmieci rycerzy, co z modrzewiowych desek misternie ociosanych, kościół Najświętszej Pannie budowali, i cud z nieba na ziemię sobie sprowadzili, do ziemi swej kąta miłosną, wierzącą siłą go przykuli. Wszyscy się uznoili mocno przy tem budowaniu rzeczywistości i ideału, ale sobie dłonią spracowaną bez skargi czoła ocierali, bo cóż panie bracie życie mężkie co kiśnie, siła co się nie spróbuje, barki co nic nie dźwigną?

Janowi lica się zarumieniły, jak gdyby mu z krynicy natury, ze źródła wspomnień woda siły gdzie trysnęła, a on jej się pełną czarę napił i pewien hart nowy, na twardość losu nie troskliwy, pewna duma los ten wyzywająca w pierś mu weszła. Uczknął sobie jakąś gałązkę już z listkami zielonemi, jeden listek młody na pamiątkę przemarzonej tu chwili przy piersi schował, i wiernego swego towarzysza kasztanka, po szyi poklepawszy, puścił się z lasu prosto na grobelkę, która od Kamionek Gajowych, o kilka staj w bok tu wyzierających, do miasteczka przez szerokie błonia wiodła. Pasły się na nich w niewielkiej odległości krowy miejskie i koni kilka, chłopaki tak białowłose jak po wsiach, po części boso, w ciemnych już przecież kapotkach, po błoniu się uwijali, bliżej pod miasteczkiem rozsypywały się śnieżnopióre stada wesoło gęgających gęsi, a on, rynku nie dojeżdżając, stanął przed domem p. Jacka Oktabowicza.

Drewniany był, nie wytynkowany nawet z wierzchu, i tem tylko od porządnych wiejskich czworaków różny, że miał dach gontami kryty i okna większe, a w miejsce drobnych szybek czteremi dużemi i czystemi szybami błyszczące. Widniały przez nie firanki białe i wyglądały zielone listki róż miesięcznych w donicach starannie polewanych; dach tworzył z frontu rodzaj okapu, który dawał ochronę dwom ławkom, z każdej strony drzwi między dwoma oknami umieszczonym, a sień otwarta, na przestrzał domu przyjętym porządkiem swojskiej architektury wiodąca, ukazywała po drugiej stronie podwórko zielone, na którego pierwszym stopniu brukowanym stał teraz właśnie kogut wspaniałopióry, i zdawał się dziwić wielce gościowi, co w te niskie progi wchodził. Było tu wszystko niezmiernie różne od kamieńskiego dworu, a przecież tak podobne jakimś ogólnym charakteru swojskiego — jak powiedziałem — budownictwa, że Jan, który tu nigdy nie był, bo się poprzednio z Oktabowiczem w miasteczku umawiał, odrazu wiedział jak się obrócić. Drzwi były na dwie strony,

do dwóch połów domu prowadzące, a on skierował się na prawo, gdzie kwitnącą różyczkę widział, i wszedł do dużej izby, a raczej już pokoju z śnieżno białemi, nieskazitelnie czystemi ścianami.

Pokój to był, powtarzam, bo miał podłogę z desek w kwadrat ułożonych, piec kaflowy polewany i sprzęty już kunsztowne, z brzozowego drzewa na naturalny kolor polituroware. Naprzeciw drzwi przy głównej ścianie stała kanapka, wełnianą niebieską morą kryta, przed nią stół okrągły i dwa fotele, między oknami komódka, kolorową niebieską serwetą zasłana, i cała zastawiona porcelanowemi filiżankami, szklannemi czarkami, wśród których wznosił się krzyżyk w ogrójcu z soli wieliczkowskiej, a po bokach stały dwa bukieciki kwiatków włóczkowych. Jan się w tem wszystkiem nie rozpatrywał, nie widział lustra w złoconych ramach nad komodą wiszącego, nie uważał dużego, olejnego portretu kobiety w czepku z zielonemi kokardami, bo zobaczył przed sobą młodą dziewczynę na jednym z foteli przy okrągłym stole siedzącą, która obydwoma rękami za jasnowłosą głowę ujęta, nad książką się schyliła i czytała ją sobie głośno, a z takiem w czytanej rzeczy zatopieniem, że wchodzącego nie słyszała.

Gości się widać nie spodziewała, a Jan wszedł zacicho, aby go mogła usłyszeć, uszy bowiem miała tak zatkane, jak robią dziewczęta na pensyach, gdy gwar współuczennic powtarzaniu lekcyi przeszkadza. Jan musiał się aż do samego stołu posunąć i uśmiechnął się mimowoli, gdy mu było trzeba z konieczności nogą o podłogę skrzypnąć. — Aleksander Wielki przeszedł Cydnus.... wymawiała na cały głos zapalona czytelniczka, gdy ją ten skrzyp doleciał; odwróciła głowę z pewną niecierpliwością, ale dopiero zobaczywszy obcego, zerwała się przestraszona. Stanęła, cała ogniem najgorętszego rumieńca oblana, wysoka jak rzadko, szczupła, wysmukła jak trzcina, w perkalowej brązowej sukience, w białym kołnierzyczku, na niebieską kokardkę pod szyję spiętym. Przeogromne włosy jasnozłote, w dwa warkocze splecione, otaczały jej dwukrotnie głowę, a uderzające podobieństwo z Michałkiem Oktabowiczem dowodziło, że to jego siostra.

Nie było to już dziecko, a nie była jeszcze kobieta, dorosła panna, była to bardzo słuszna dziewczynka, na którą spojrzawszy tak się zdawała, że jutro właśnie na pannę dorośnie, jak patrząc na pąk kwiatowy wróżymy sobie, że się za godzinę rozwinie. Jan powiedział jej kto jest i zapytał czy ojca w domu zastał?

Jasnowłasa dziewczyna, a raczej Felisia Oktabowiczówna, jak to już wiemy, ledwo mu odpowiedź rzuciła, że zastał, i w drzwiach zaraz w tyle za nią będących, zniknęła. W okamgnieniu zastąpił ją ojciec, który się może wizyty z Kamienia spodziewał, nie wiedząc tylko kto mu ją odda? Zobaczywszy Jana z najlepszym humorem go przywitał, rad, że z nim będzie miał do czynienia. — To porządny panicz, co się zowie — opowiadał wczoraj Michałkowi — jeden tylko porządny ze wszystkich panów Kamieńskich. Serca tak mówią niezłego jak ojciec, a gospodarz — porządny panicz.....

To też bardzo grzecznie siedzieć go prosił, a Jan mu rękę podał. Jan podobnie jak Jadwiga widział w Oktabowiczu człowieka w swojem prawie, a nie piętnował go za to znakiem pogardy, że dorobkowicz. Nic nie uczciwego, nic nikczemnie podstępnego, drapieżnego, o nim nie słyszał, że zaś był w zbieraniu obrotny i przebiegły, nawet na zysk chciwy, usprawiedliwiał to poniekąd okolicznościami, wśród których się znajdował. Handel z podrzędną spekulacyą złączony, zawsze tak ludzi wyrabia, a Jan brał w rachunek i to, że Oktabowicz musiał w tym handlu walczyć z falangą jeszcze przebieglejszą i chciwszą od niego, a zbitą jak gdyby w bractwo pomocy wzajemnej, z liczną falangą drobnych kramarzy i przemysłowców żydowskich, którzy miasteczka nasze przepełniają, a nie biorąc się wśród rolniczej ludności, ani do roli, ani do rzemiosł, bo rzadko gdzie żyd jest rzemieślnikiem, rzucają się na nasz wewnętrzny, a przez nich właśnie nad miarę rozdrobniony handel z namiętnością walki o byt. Jacek Oktabowicz musiał ich przemódz, aby się mógł sam wybić do góry, a przemógł głównie z tego powodu, że twardy w interesach i na zysk z nich czuły, był jednak sumienny i nie chytry, nie okłamał, siecią intrygi niepoczciwej nie oplotł, choć korzyść wyciągnął ze wszystkiego co się dało. Ludzie to wiedzieli i traktowali z nim chętnie, niejeden nawet do smutnego interesu koniecznością zmuszony mawiał: — Wolę już, żeby to wziął on, niż inny....

Do cech na pozór szczególnych charakteru Oktabowicza ta należała, że był nietylko w interesach twardszym, ale w obejściu gburowatszym dla wyższych, jak dla niższych, ktoby przecież chciał w tem jakiś objaw socyalnych jego poglądów upatrywać, myliłby się zupełnie. Jacek Oktabowicz przeciwnie nigdy się w myślach swoich nie porwał na tradycyonalny u nas rzeczy porządek, szanował go nawet i łączył w myśli z wyobrażeniem przeszłości, którą silnie kochał, ale dla tych przyczyn właśnie, dla uczucia, które w nim najlepszem, najwyższem, najszlachetniejszem było, czuł wielki gniew, rozdraźnienie prawie namiętne na panów niegospodarnych, utracyuszów i rozrzutników. — Co ci ludzie nie marnują — mówił nieraz żonie, za głowę się chwytając — czego ci ludzie nie tracą!! Złość bierze, żal bierze i płakać się chce nieraz.... Z torbami niedługo pójdą, a kto przeputane majątki pobierze? Kto się na ich miejsca rozsiędzie?

Nie małym bodźcem i podnietą jego zabiegliwości to było, aby w to nędznie tracone stanowisko obywatelskie wstąpić, a choć jednego z tych nie wpuścić, których on tam widzieć nie chciał. Szmek... Szpek to było ogólnikowe orzeczenie jego antypatyi w tym kierunku, i gdyby się był milionerem urodził, byłby może jaki bank Felusowy założył, ale urodziwszy się synem morgowego właściciela ogrodu, pod uprawę cebuli oddanego, cebularza jak się w tamtych stronach pospolicie mówi — został przemysłowcem zaciętym, który nieraz dał babie zapomogę, aby jej krowy za dług przednówkowy nie zabrali, ale paniczowi, który na jarmarku Łowickim w karty się zgrał, a niełademu majątek zaszargał, nigdy grosza w targu nie opuścił, nigdy feniga procentu nie darował, a z takiej wyprawy od niego do domu wróciwszy w kąty pluł: — Charłak... Mizerya..... dawałbym mu do Ran Pańskich po pięć batów co piątek....

I był dla niego w interesach najprzykrzej grubiańskim, i nigdy mu żadnego upokorzenia nie oszczędził. Nazywał to lekarstwem na pańskie robaki i śmiał się potem serdecznie, gdy je dał zażyć.

Gardził bezmyślnem marnotrawstwem, ociężałem lenistwem, czuł gorzki żal do zbiegających ze stanowiska obywatelskich powinności. Zostać posiadaczem wsi było jego marzenie od lat najmłodszych i położenie to wyidealizował sobie na coś najpiękniej szczęśliwego. Stanowiło to szczyt jego dumy, a Kamień — jak powiedział Jadwidze — okrutnie mu się podobał.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Jan Ramzau.

ROMANS MARYNI.

POWIEŚĆ NA TLE ŻYCIA WIEJSKIEGO.

Drukowana w popisowym numerze popularnego czasopisma „Touche à Tout.“

7 PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU.

(Ciąg dalszy).

— Czego uciekasz, głupi? — zawołał Cypryan — nie chcesz iść?

— Nie, nie chcę.

— Dla czego?... Toż one cię nie zjedzą. Widziały one nie takich prostaków, jak ty!

— Idź sobie sam! Starczysz za nas obu!

— Coś ty powiedział, bałwanie?

— Powiedziałem, żeby mi dano spokój!

I Bertrand poszedł zobaczyć, co robią ludzie na polu. Drżał, sam nie poznawał siebie.

Zazwyczaj uczuwał szacunek dla brata, dla tego starszego, któremu przeznaczone były wszystkie uśmiechy życia. A teraz....

Nie powrócił do Budy przed nocą. W pustym salonie, do którego wkroczył, zdawał się czuć nadzwyczaj delikatny zapach, tak jakby coś w nim zostało dla niego i panny Maryi.

— Nie, nie! To nie dla mnie! — rzekł do siebie, wracając do swego pokoju.

Chciał podpalić ten salon.

Stawał się coraz bardziej podnieconym; do rodziców ani się odezwał w czasie wieczerzy. W polu, nie wiedział, co robił. Chodził po łąkach i po winnicach ze sztywnością widma.

Pewnego dnia usłyszał brata, mówiącego z ożywieniem o łódce. Bruscail, jak prawie wszyscy mieszkańcy nadrzeczni, miał własną łódź, uwiązaną przy brzegu Biduzy, a wyrobioną z jednego pnia wierzby. Dawniej, obaj bracia używali jej co niedziela. Jechano z biegiem rzeki aż do Bidache'y, a nawet aż do Urtu.

Piękne to były wspomnienia dla Bertranda!

Na samą myśl o nich czoło mu siniało i zimno mu było, zimno!...

Cypryan poprosił o łódź dla odbycia przejażdżki z Manią. Przejażdżka ta została ukartowana, jak się zdaje, za ostatnią wizytą pań. Cypryan był niezłym wioślarzem.

Przy pomocy jednego przyjaciela z Urtu, chciał zawieźć Manię i jej matkę do Bidache z biegiem rzeki, o ile wiatr będzie pomyślny.

Bertrand, dowiedziawszy się o tem, rozwścieklił się jeszcze bardziej. Złe myśli zakotłowały mu pod czaszką... Przecież gdyby on był starszym, gdyby nie był dostał kulą w twarz, to on mógłby był zrobić tę wycieczkę wodą z Maryą, mógłby płynąć pod wierzbami i wiosłować, olśniony słońcem, olśniony urodą!... Mógłby podawać rękę Maryi tam, dla przeprowadzenia jej na ląd i mógłby ją też pod rączkę prowadzić po tych wszystkich ruinach, u stóp tych wszystkich baszt mchem porosłych, po pod temi murami, walącemi się, w tym starym zamku Koryzandry, gdzie Henryk IV. zaznawał szczęścia, kędy dotąd jeszcze czuć było zapach legendowych amorów.

Bertrand nie miał dużo czasu na naukę; ale wiedział o tem z opowiadania i z czytania kilku książek. O, w pięknym bo kraju mieszkał i piękny kraj kochał! piękny swoją przeszłością, piękniejszy stokroć swoim wdziękiem odwiecznym! A teraz Cypryan będzie robił honory Maryi!

I zapytywał siebie, co się z nim stanie w tym dniu, kiedy jego brat będzie tak szczęśliwym!

Bruscail pozwolił Cypryanowi rozporządzać łódką i starszy zaczął już reparować żagle, układał sznury, sprawdzał dokładność steru. Gdy już wszystko było gotowe, przyszła mu pewna myśl do głowy i dla czegoby nie ubrać łodzi w kwiaty na tę przejażdżkę? Kiedyś widział, jak przejeżdżały po Biduzie dwie wesołe pary, przybyłe z Biarritz na łodzi, ubranej różami; a widok ten zachwycił oczy dziecka. A gdyby tak ubrać także różami szczęśliwą łódkę, która miała nieść Maryę?

I zaraz przystąpił do starania się o róże. Chciał ich mieć mnóstwo; marzył, że wszędzie je pouczepia: na maszcie, na linach, na sterze, na dziobie, na wiosłach, na ławkach. Róże! wszędzie róże. Będzie wyglądało, jakby jechano w koszu róż! Cała rzeka zapachnie różami!

Jeżeli ten nadmiar kwiatów dokuczyłby pasażerkom, w takim razie można będzie wysiąść tu i owdzie i odetchnąć innemi zapachami wybrzeża. Ale komu by mogły przejeść się róże!

Niestety, nie wiele róż rosło w Budzie. Wszakże inni obywatele miejscowi posiadali ich sporo. Zresztą, weźmie się różne gatunki: róże, białe, róże herbaciane, różowe, ponywny, centofolie, ale — znajdzie się dość do ubrania małej łódki.

W istocie było to łatwo; lokatorzy Bruscaila znosili wszystko, co posiadali w swoich ogrodach; inni wieśniacy ustąpili swoich. I Cypryan miał wkrótce więcej róż, niż mu było potrzeba. W wigilię dnia, obranego na przejażdżkę, sam je poprzywiązywał sitowiem i łoziną. Na ławce, przeznaczonej dla Maryi, umieścił najpiękniejsze.

Wszyscy mieszkańcy i czeladź Budy poszli zobaczyć ukwieconą barkę i wydali kilka westchnień zachwytu. Ach ten pan Cypryan! Już to przyznać trzeba, że się nie mało nauczył w szkołach!

Bruscail, który zazwyczaj nie wiele interesował się zabaweczkami tego rodzaju, zdawał się być zadowolony dnia tego ze swego spadkobiercy i już nie tak żałował grosza, wydanego nań w Paryżu! Ba, umiał bo Cypryanek przyjmować damy! Zdolna bestya!

Co do Kasi, to ta była poprostu zgorszona na widok tej pięknej barki. I rzekła do syna:

— To za ładne, Cypryanku, za ładne dla obwożenia kobiety... Pozwolisz mi usiąść w niej trochę?

Jeden tylko Bertrand nie chciał widzieć łódki, tej pięknej ukwieconej kołyski, chwiejącej się na wietrze.

Kasia widocznie zrozumiała, dla czego jej syn odmówił. Rzekła doń głosem, pełnym pieszczoty:

— Ależ i ty Bertrandku, będziesz mógł także pojechać z temi paniami do Bidache. Tatko ci pozwoli, z pewnością!... Czy Cypryan nie proponował ci tego?

— Nie! — odparł Bertrand ponurym głosem.

— No to ja mu powiem, iżby cię zabrał.

— Ja nie chcę!

— Dla czego nie chcesz?

— Bo nie chcę! — powtórzył mocniejszym głosem.

I odszedł, nie chcąc mówić o tem dłużej.

Nazajutrz zrana dzień zapowiadał się pięknie. Pan Lafourcade z Urtu przybył nieco przed siódmą do Budy. Był to młody przyjaciel Cypryana, mający także jechać do Bidache. Wiatr dął od zachodu, ale bardzo słabo; łatwo będzie płynąć po Biduzie. Obaj młodzi ludzie postanowili wypłynąć zaraz po przybyciu pani Couloumerowej z córką.

Przybyły niebawem. Były już o ósmej. Cypryan z towarzyszem oczekiwali je na brzegu rzeki.

Gdy ujrzały te wszystkie kwiaty, tę łódź wystrojoną jak czółno z bajki, wybuchły zachwytem, a oczy Maryni rozszerzyły się z podziwu, ze szczęścia.

Prawie niezwłocznie odjechano. Barka, odczepiona od brzegu, ześliznęła się w wodę; wiatr wydął żagiel i zaokrąglił go jak policzek. W wodzie błyszczącej odbite lipy drżały, jak gdyby wielkie szczęście wzruszyło je do głębi.

Bertrand oddalił się z domu tegoż poranku jeszcze przed Cypryanem. Poszedł na łąki, sam jeden, mówiąc do siebie pół głosem, jak obłąkany. Na śniadanie nie wrócił do domu. Nie spostrzegał upływu godzin; błądził bez rozumu.

Po pewnym czasie znalazł się na łące z pod Hountiny, sąsiadującej z Biduzą, tam, gdzie mu się kiedyś ukazała Marynia w sukni jasnej, w białych rękawiczkach, z włosami blado złotej barwy, przewiązanemi powojem.... Po cóż takie wspomnienia błąkały mu się jeszcze po mózgu?

Położył się na trawie, na miejscu, gdzie stał wóz z sianem i ani drgnął. Chciał tam zostać, dopóki się wszystko nie skończy.

Ale wieczorem, gdy wierzby przykryły go swym cieniem, Bertrand usłyszał śpiewy z oddali. Był to głos znany mu dobrze: głos, jak się zdaje, Cypryana. A śmiechy rozlegały się dokoła tego głosu: od czasu do czasu wybuch radosny kobiecego śmiechu grzechotał, jak garść kul, wśród ciszy.

Bertrand podniósł się i rzekł do siebie:

— To oni! wracają...

To mówiąc, skierował się ku rzece. W kilka minut był nad wodą. Ukrył się w trzcinie i czekał.

Biduza tworzyła zakręt w tem miejscu. Głosy było słychać coraz wyraźniej, ale nikogo jeszcze nie było widać.

Jednakże, ponad drzewami, ukazał się wkrótce biały trójkąt: szczyt żagla, płynącego zdaleka, ozłoconego w słońcu, jak skrzydło.

Niebawem, woda małej rzeki, w której kąpał się cały zmierzch ze swoją świetnością, drgnęła na końcu łuku i cała łódź wypłynęła na jaw.

Odarta była trochę z kwiatów, ale wyglądała jeszcze ładnie. Panna Marya i jej matka, w lekkich tualetach letnich, Cypryan i jego towarzysz w kurtkach białych i kapeluszach słomkowych, wyglądali, jak podróżni z bajki, udający się na zabawę. Bertrand ukrył się poza drzewami. Drżał cały, jak gdyby ta łódź miała mu zabrać, w przelocie, resztę posiadanego przezeń rozsądku. Oczy mu się rozszerzyły, twarz wydawała się jeszcze bledszą, nawet rana utraciła barwę krwi, którą posiadała do tego czasu.

Łódź przepłynęła; śledził ją skurczony za drzewami. Nie spuszczał jej z oczu. Zwolna, w tem samem tempie, co i ona, szedł brzegiem rzeki. Niekiedy rów, wzgórek, płot przeszkadzały mu w biegu. Wtedy odwracał na chwilę oczy dla przebycia zapory, poczem znowu zaczynał wpatrywać się w barkę, śledząc ją, dla czego, po co, sam nie wiedział. Doznawał uczucia, jakgdyby był przywiązany do masztu niewidzialną liną. Tam, dokąd barka pójdzie, tam pójdzie i on, bodaj do morza!

Od czasu do czasu, twarz Maryni odwracała się w jego stronę. O, ona go nie widziała, bez wątpienia; nie przypuszczała, że on ją śledził, że był ciągle o dwadzieścia do trzydzieści metrów od niej, on, któremu zabrała serce kiedyś, pewnego niezrównanego wieczoru, niedaleko stamtąd. I gdy się tak doń odwracała, Bertrandowi zdawało się, że widzi rodzaj chmury, wznoszącej się pomiędzy barką a jego oczyma, i bezwiednie zaciskał pięści.

Wkrótce barka stanęła. Przyjechano do promu. Tam miała się zakończyć przejażdżka. Marynia z matką wyszły na ląd. Po drugiej stronie rzeki czekał otwarty powóz — własność pani Couloumerowej z Berdillonem na koźle.

Wtedy Marynia pożegnała się z Cypryanem i jego przyjacielem z Urtu. Pani Couloumerowa młoda podziękowała obu młodzieńcom za prześliczny spacer, odbyty razem i rozstano się.

— Do jutra? — spytała Marynia, siedząc już w powozie.

— Do jutra! — odparł Cypryan.

I spoglądał na odjeżdżające.

Bertrand znajdował się teraz o kilka kroków od niego za olszyną. Miał zachód słońca przed sobą i niekiedy nic nie widział, oprócz cegły czerwonej.

Ale spostrzegł jednak pewien ruch Cypryana, ruch, którym ten posyłał całusa w stronę powozu.

Wtedy krew uderzyła do głowy Bertranda, jakgdyby długo tłumiona nienawiść miała wybuchnąć nareszcie.

Wyszedł ze swego ukrycia, przystąpił do Cypryana z pięściami do przodu i nie wyrzekłszy ani jednego słowa, pchnął go z całej siły w rzekę!

— Ach! djabli synu! — zawołał Cypryan! — Co tobie? Bertrand! Bertrand!... Ach! Morderca!...

Nie mógł powiedzieć więcej. Z wzniesienia do ładunków, na którem się znajdował po nad Biduzą, ześlizgnął się, upadł w znak, pod wpływem gwałtownego pchnięcia przez brata, a ciało jego z wielkim pluskiem wody, runęło tuż obok miejsca, na którem stała ukwiecona barka.

Lafourcade, jego przyjaciel, widział to, ale nie mógł złemu zapobiedz. Napaść była tak nagłą...

Po chwili krzyknął:

— Bertrand! Co ty sobie myślisz? Czyś zwaryował?

Chciał go pochwycić. Ale Bertrand odepchnął go pięścią.

— Proszę się do mnie nie zbliżać! — rzekł.

A gdy i przewoźnik, który również widział tę scenę, chciał się rzucić na napastnika, ten odwrócił się i uderzył go z całej siły.

— Masz, to cię nauczy, durniu, ażebyś się nie wtrącał do nie swoich rzeczy! Ha, cóż, masz dosyć? A może jeszcze chce który?.... Niech się nikt nie zbliża!... Wszystkich pomorduję!...

Bertrand pienił się. Rolnicy, zwabieni hałasem, wpadli nań, przewrócili go i po krótkiej walce, zdołali go poskromić.

Na ich ręku zemdlał w napadzie konwulsyj, podczas

gdy Lafourcade zajął się ratowaniem Cypryana, który, jako słaby pływak, dawał się już porywać prądowi wody.

VI.

Bardzo często w pismach codziennych Bertrand czytywał opisy zbrodni, i zawsze, czytając je, robił taką uwagę: „Jak też człowiek mógł się dopuścić czegoś podobnego!"

Dziś sam się tego dopuścił i był poprostu zdziwiony. Chciał zamordować brata; byłby go zabił, gdyby był miał w ręku fuzyę, nóż lub broń jakąkolwiek. Strącił go do wody znienacka, w odruchu nieprzepartym, i uderzył Lafourcada uderzył przewoźnika. W tej chwili byłby zmasakrował ojca, matkę, każdego, ktoby usiłował stanąć pomiędzy nim a Cypryanem.

Szczęściem, zjawili się sąsiedzi, wzięli go, pozbawili go możności szkodzenia bliźnim. A inaczej cóżby się było stało?

Teraz starał się sobie przypomnieć, poznać, w jaki sposób on, tak łagodny, tak bojaźliwy, mógł stać się ni stąd ni zowąd zbrodniarzem, i nie znajdował żadnego wyjaśnienia.

Drżał w rękach ludzi, którzy go nieśli do domu, a spostrzegłszy gloryetkę, dach zaostrzony Budy, z tem małem okienkiem tam w górze, gdzie rozwinęły się w nim jego sny dziecinne, wybuchł nagle łzami.

Prawie jednomyślnie Lafourcade przyprowadził Cypryana po wydostaniu go z wody. Brat Bertranda dygotał nieco w swej kurtce z białego płótna, które się doń przylepiło, jak druga skóra! Napił się ze dwa czy trzy razy wody z Biduzy: ale nic mu nie będzie! Rozetrze mu się parę razy piersi ciepłą flanelą, a gdy się prześpi, będzie zdrów, jak ryba.

Niestety, przewoźnik, uczęstowany pięścią Bertranda, czuł się bardzo niedobrze, pięść uszkodziła mu oko.

Skarżył się przytem na boleści wewnątrz. Lekarz, wezwany naprędce, znalazł go w stanie groźnym.

I o dziewiątej tegoż wieczoru konający zdobył się na posłanie swej żony do Budy z zawiadomieniem, że usłyszą o nim! Jeżeli myślą, że on się tak da zabijać, to...

Bruscail zwęszył denuncyacyę do władzy i żądanie odszkodowania. Cera starego sknery przybrała barwę karmazynową.

Co bo też przyszło temu Bertrandowi do głowy!

Bruscail nie wiedział, co o tem myśleć! Kasia przyglądała się synowi ze ściśniętem sercem tak, jakby miała do czynienia z istotą, opętaną przez złego ducha. Miałżeby istotnie zwaryować?

Na początek, Bruscail wytargał Bertranda porządnie za uszy.

Był to jego zwykły sposób rozpoczynania śledztwa.

Cypryan, i ten także był nie mniej kategorycznym.

— Ty, słuchaj, odważny, ja się z tobą rozprawię jutro! — oznajmił bratu wymownym gestem.

Ale pomimo to wszystko, Kasia z trudem mogła potępiać syna młodszego; żałowała go raczej; a w głębi jej matczynego serca pozostawało dlań jeszcze wiele współczucia. Płakała przy jego boku, podając mu rękę.

Nikt w domu nie śmiał się odtąd zbliżyć do Bertranda.

Bruscail mu niedowierzał; służba przyglądała mu się dziwnym wzrokiem, wszyscy zdawali się mieć na baczności, przechodząc obok niego.

Jedna tylko Kasia nie bała się Bertranda. O dziesiątej, gdy wszyscy w Budzie udali się na spoczynek, poszła odwiedzić go w jego pokoju. Przyniosła mu dzbanek lipowego kwiatu, w którym cukier zamięszała palcem.

— Masz, syneczku, pij, to ci dobrze zrobi, — mówiła ze smutkiem, nie śmiąc nań patrzeć.

Przystał na wypicie kilku łyków, iżby nie zrobić przykrości tej biednej mamie, która tyle cukru włożyła do tego lekarstwa. Ale nie mógł wypróżnić do dna całego dzbanka i zostawił trochę dla niej. A gdy się napiła, otarła usta rękawem, poczem głosem, gotowym do łez, spytała:

— I cóż, Bertrand? Co ci to było tego wieczoru? Dla czegoś się tak rozgniewał?

On spuścił głowę i nic nie odpowiedział.

— Nie chcesz mnie powiedzieć, mnie? Nie bój się. Jeżeli to sekret, nie powiem nikomu, ani ojcu, ani Cypryanowi... Powiedz że mi, co ci było?

Bertrand nie przestawał spuszczać głowy. Ani jeden wyraz z ust mu nie wyszedł.

— Wszak mnie słyszysz chyba? — zaczęła znowu matka, kładąc mu rękę na ramieniu i przyciągając go do pocałunku. — Słyszysz, syneczku? Odpowiedz mi cośkolwiek... O, bo ty wiesz, że od pewnego czasu bardzo nas matwisz...

— Przepraszam mamę! — rzekł Bertrand głuchym głosem.

A wzniesienie piersi zdradziło, że znowu zacznie płakać.

Kasia ujęła mu głowę rękoma; złożyła pocałunek na jego ranie na twarzy i półgłosem zaczęła znowu:

— Nie chcesz mi nic powiedzieć? Wiesz przecie, jak ja cię kocham! Jam nie taka, jak twój ojciec, mam tyleż serca dla ciebie, co i dla Cypryana.

— Tak, mamo, dziękuję.

— No więc mów; powiedz, dla czegoś zepchnął brata do wody, dla czegoś prawie zabił przewoźnika i rzucałeś się na wszystkich? Masz wielki żal do brata? Cóż on ci zrobił? powiedz!

— Ależ nic! — odparł Bertrand po chwili wahania

— O tak! Ty coś ukrywasz! Ty go nienawidzisz, myśmy to dobrze zauważyli! Tyś zazdrosny, chłopcze.

— O, wcale...

— Nie kłam! Ty mu zazdrościsz! Tyś się tak zmienił od czasu, gdy panna Couloumerówna bywa u nas!

— Mamo! — zawołał Bertrand, usiłując jej zamknąć usta.

I oczy jego nabrały nagle strasznego blasku.

— Ach, mój Boże! Otóż to właśnie! — rzekła Kasia.— Więc i ty także kochasz tę...

Ale usta syna przycisnęły się do jej warg ruchem szybkim i trwożliwym zarazem, byle jej nie dać mówić.

— Nie, nie! Niech mama w to nie wierzy! — zawołał, przymykając oczy.

— Jednakże, mój Bertrandzie...

— Nie, nie!

— Będziesz miał niedługo lat dwadzieścia, no i, bądź jak bądź, wolno ci będzie...

— Nie! — powtórzył Bertrand, czerwony ze wstydu.

— Ba! Nie zaprzeczysz mi chyba, że zobaczywszy tak ładną dziewczynę...

— Ja nic nie wiem, czy ona ładna! Ja nie patrzałem na nią!

— Syneczku, ty ukrywasz prawdę w tej chwili.

— Ależ nie, zapewniam mamę...

— Dla czegoż więc chciałeś zabić brata? Powiedz, czy jest jaka inna przyczyna?

Nie odpowiedział; oczy miał spuszczone; twarz stała mu się purpurową.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Hasse i Spółka

gi

far-
lichem
o stale
spotka
Maril"
órę, nie
abycia
ełkach
il", bo
va.
rogardzie.

s:
LGNER,
en,
S. 14.
tr. Nr. 9.
lnia kilka-
— zwrot
rantowy.
wy zniżone.
ys a, to tru-
egarka po
ręceniu 30
in
arek nikl.
złocone
ej 7 00 teraz

garek Re-
ylinder Ia
awniej 12,00

k. 6 kamieni

6 kamieni

nie do od-

9 25 lepszy
5 lat pi-

Boskiej na
najlepszy
kszy format.
em dla cł ło-
próbowane

o wiśniowe

we Ia dawn.

lub czarne

no. 347

Zachodnich,

dem
ościńcem
cya, k óra
alny wraz
Dzierżawy
u. Dla Ro-
lla miejsco
konieczny.
00 mk. Za-

pod lit.
365